

BLUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

KOBIETY IRLANDZKIE.

Kobiety irlandzkie odznaczają się wśród kobiet Wielkiej Brytanii cechami tej własnej indywidualności plemiennej, która zatracić się nie dając, uwidocznia się w całym układzie ich życia. Celtycka żywość ich wyobraźni, celtycka gorącość uczuć, zapal nigdy nie gasnący, góruje tu, jak w narodzie ich całym i daje im nie tylko pewien blask, poetyczność, która pociąga do nich ludzi i czyni je sympatycznymi, ale używa im serdecznego ciepła i enoty ich tak domowe, jak społeczne potęgują się przez sposób, w jaki są wykonywane. Harfa bardów, która stanowi herb Irlandyi, im na przechowanie się dostała i nie tylko nachmienie poezyi zstępuje tu często w pierś niewieściami, ale poetyczność kobiety irlandzkiej ożywia tchnieniem swoim atmosferę rodzinnego domu — rozbudza się przez matkę w piersi dziecka, krzepi w młodzieńcu przez wybraną serca jego dziewczę i niemal nieprzerwanym ciągiem snuje się pasmo tej szlachetnej działalności kobiety wskroś doli i niedoli Irlandyi. Dobroczynność Irlandki oddaje krajowi tak wielkie usługi, że zalicza się do enot miłosierdzia chrześcijańskiego.

Przechodzi ona, ta chrześcijańska enota miłości bratniej za pośrednictwem szlachetnie prowadzonego wychowania z piersi matek w pierś córek — święty klejnot tkliwości uczuć, święty klejnot poczuwania się do społecznych obowiązków kobiety, na wypełnienie których nie potrzeba żadnej emancypacji, żadnego nowego pola pracy, zdobywanego na tej jakoby zasadzie, iż obecnie szranki życia kobiety ciasne są i zaduszają porywy podnioslejszych popędów jej ducha — pragnienie jej wyższej działalności wśród ogółu swego.

W tym zakresie pracy obywatelsko-chrześcijańskiej, którą kobieta irlandzka podjęła jako obowiązek na jej dział przypadający,



MATYLDA GONNE.

pierwsze miejsce zajmuje obecnie Mrs Power Lalor, właścicielka ziemiska, zamieszkująca w okręgu Tipperary, w posiadłości Long-Orchard, a szczęśliwą łaską losu pochodząca z zacnej, silnie do kawałka posiadanego gruntu przywiązanej rodziny: córka szlachetnej filantropki, Mrs, Anny Ryan, która o zaraniu życia jedynaczki swojej siała już w grunt młodego serca szlachetne uczucie obowiązku względem bliźnich i społeczeństwa swego. Wdowa to była, poświęcona całkowicie obowiązkom uczciwie na życie patrzącej matki, wcześniej też przyuczyła córkę do wypełniania tych cnót chrześcijańskiej miłości bliźniego, które według jej pojęć o życiu obowiązywały każdego człowieka. Nie było tu wielkiego majątku, ale było w piersiach czystych uczciwej kobiety szlachetne pojęcie obowiązków swoich i całą siłę posiadanych zdolności umysłu i serca zwróciła w kierunku wspomnienia nędzy ubogiej ludności, mrącej z głodu. Było to w smutnej dla Irlandyi pamięci 1847 r. — roku nieurodzaju, roku głodu i szlachetna kobieta wystąpiła odważnie do walki z klęską, która poczęła wydłubniać wsie całe, bo rozpacz gnała za Ocean tysiące szukających w Ameryce chleba, którego brakowało im w ojczyźnie. We własnym domu swoim, starożytnym zameczku, założyła szkołę koronkarstwa, oraz robót szydełkowych i to nie ograniczając tu przystępu do kobiet jej włości jedynie. Każda, choćby w łachmanach żebraczka, miała tu przystęp otwarty sobie i znajdowała przez daną sobie pracę uchronie przed śmiercią głodową, a stosunki zawiązane z komitetami ratowania głodnych, znajdującymi się w Dublinie i Korku, dawały możliwość zbytu wyrobów, których fabrykacyi uczyła gorliwie, poczynając od dziewczątek bardzo młodych, dzieci jeszcze. Dobrze ziarno prawdziwej, bo czynnej miłości bliźniego zasiewało się tym sposobem wcześniej w sercu młodej jej córki, która po wyjściu za mąż, za ziemianiną też, Henryka Power-Lalor, pełniła w dalszym ciągu dzieło szlachetnego miłosierdzia, uważając je za obywatelski obowiązek

kobiety irlandzkiej, jak to wygłosiła w odczycie, który następnie był drukowanym na rzecz trapiionych głodem biedaków. Nakaz tej powinności społecznej pod którego siłą mężczyzna stawia z bronią w rękę na polu bitwy, należy kobiecie spełniać w zakresie dzieł miłosierdzia przez pomoc, niesioną ubogim, chorym, wiekiem złamanym biedakom—to była treść jego.

Jej też zasługą było, że w 1880 r. uboga dziatwa irlandzka, 53.000 chłopców i dziewczątek, uczęszczających do wiejskich i miejskich szkółek Irlandyi, otrzymywała co dzień strawę ciepłą — strawę ratującą od śmierci głodowej. Pisała, mówiła — zaklinała w imię najświętszych obowiązków chrześcijańskich, aby śpieszono z pomocą, zrobiła tyle, że za pośrednictwem redakcyi amerykańskiego dziennika „New York Herald” nadesłano na jej ręce od irlandzkich wychodźców z oceanu 10.000 funtów sterlingów, to jest sto tysięcy rubli dla ratowania głodnych dzieci. We dwa lata potem okropności te powtórzyły się znowu i znowu na jej ręce płynęły równie obfite datki miłosierne, z drobnych ofiar po największej części powstałe. Uczynioną ją jakoby podskarbiną głodnych, uznano w niej anioła stróża nieszczęsnego ludu, i ona, skromna, cicha z natury kobieta, przyjęła tę missyę jakoby obowiązku, którego należało jej dokonać, a co umiała spełniać nie tylko sercem gorącym, ale i rozumem niepospolitym. Ogłodzonej krainie brakowało na wiosnę wskazanego wyżej roku kartofli do sadzenia, lecz ona przewidując ten brak konieczny, poczyniła już naprzód zakupy, i angielski zarząd Irlandyi zgłosił się do niej w osobie podsekretarza stanu dla spraw Irlandyi, sir Roberta Hamiltona, jakoby do jakiejś reprezentantki nieszczęśliwych — królowej nad państwem nędzy, z propozycją, aby dodaną jej tu być mogła jakaś pomoc ze strony rządu. Przyjęła ją, ale jedynie w postaci statku przewozowego, któryby kładąc wzdłuż północnych i wschodnich brzegów wyspy, dowoził do składów portowych szacowny swój ładunek.

Lecz niestety, stare przysłowie nasze, że nędza zawsze chodzi w parze, zaczęło sprawdzać się tu okrutnie. Bieda ludu musiała spowodować upadek mienia większych posiadaczy, zwłaszcza, że ta reszta szlachty irlandzkiej, która zdołała utrzymać się jeszcze przy ziemi, nie należy do zamożnych, więc przyszły czasy ciężkie, braki pierwszych potrzeb życia i oto zaczęto zwracać się do niej, jak do patronki dobrej rady, co robić, na jakiej drodze szukać ratunku? Królowa Wiktoria знаła ten stan, były też starania różne, aby przynieść tu pomoc jakąś, ale sprawa była zadzierzgnięta jak węzeł gordyjski i M-rs Power Lalor umiała to odczuć, co po drugiej stronie wody, jak Irlandczycy nazywają Anglią, nie daje się wytłómaczyć tak łatwo i trzeba tu było nieodwołalnie samopomocy. W Londynie mieszka kilkadziesiąt tysięcy Irlandczyków, składy dla zbytu produktów pracy irlandzkiej, przemysłu domowego zaczęły się tam otwierać pod natchnieniem szlachetnej kobiety, która obok tego działała przez odezwy listowne na przebywające tam rodziny irlandzkie, aby zaopatrywanie się w nich wyłącznie uważano sobie za obowiązek uczciwości obywatelskiej, co też dało się otrzymać z powodzeniem, które mogłoby służyć ludom innym za wzór rozumnej organizacyi społecznej. Sprawa przemysłu irlandzkiego zaczęła tymczasem stawać się tak ważną, tak coraz ważniejszą dla życia i stanu umysłów Irlandyi, że w 1887 r. vice-król, margrabia Londonderry, zaczął czynić wszelkie możliwe usiłowania, aby podnieść przemysł nieszczęśliwej krainy, szczególnie przemysł domowy, bo fabryczny przez brak kapitałów mało ożywiony, przeszedł przeważnie w ręce angielskie. Zwrócono się z tem do M-rs Power Lalor, jako do osoby mogącej tu bardzo wiele i margrabia zażądał od niej, aby „dała poparcie jego usiłowaniam” i przyjęła urząd inspektorki przemysłu koronarskiego: „Lace inspectress for Ireland”. Zawahała się w pierwszej chwili, ale uczucie pożytku, jaki mogło to przynieść krajowi, przemogło wkrótce i tylko położyła tu za warunek, aby ona sama uczyniła wybór podinspektora powiatowych, na co przystano, a przyjęty urząd ten dał jej wnikać głębiej nie tylko w nędzę ludu. Tysiące rodzin z klas wyższych, z klasy

posiadaczy ziemskich doszło do biedy graniczącej z nędzą; panowała ona okrutnie po starożytnych dworach, po starożytnych pałacach, z których nawet pamiątki rodzinne szły na sprzedaż i tu praca dająca zarobek u ogniska domowego była zbawieniem. Trzeba ją było nie tylko uregulować, trzeba było nie tylko dostarczać jej możności zbytu, ale materyału, co ona wzięła na swój wyłączny obowiązek, spełniany sumiennie, ale to ratować mogło młodość, wiek średni, lecz cóż działać się miało ze starością — z jej niemocą, z jej bezsilnością?

M-rs Power Lalor spotkała się wśród urzędowych swych objazdów po kraju z taką nędzą, serce rozdierającą, z takimi brakami pierwszych potrzeb, że „nie mogła już spokojnie skłonić głowę do snu”. Wielka liczba rodzin niegdyś większych posiadaczy ziemskich jest w niej pogrążona i szczególnie starość, starość bezsilna do pracy już niezdolna wystawiona tu była na nędzę wszelkiego rodzaju, bo za nieopłacone podatki wyrzucano wszystkich bez wyjątku z siedzib starych. Los sędziwych kobiet w położeniu tem okrutnem przejął szczególnie bolesnem uczuciem litości serce jej tkliwie i pragnienie wzniesienia przytułku dla tak nieszczęśliwych wzbudziło się w uczciwem, szlachetnem sercu M-rs Power Lalor, bo tu praca już nie mogła dać ratunku. Wzięła też to sobie za obowiązek, aby dać tym niebogom uchronić przed nędzą ostatnią — spokojny kąt jakiś, gdzieby mogły zamknąć cicho oczy, które napatrzyły się w życiu na najokrutniejsze jego obrazy i z pomocą drugiej, podobnie zacnej Irlandki: lady Róży O'Hagan, wzniesiony został w Dublinie, w miejscu cichem i przyjemnem, wśród przewiewnego placu Rutland Square, dom schronienia dla zubożałych a sędziwych kobiet z klasy byłych posiadaczy ziemskich.

Ile dziękczynnych modłów wzniosło się za nią do nieba, ile łez gorzkich przestało płynąć z biednych oczu, które napatrzyły się ciężkich nędz życia!.. Obecnie zacna pani zajęta jest pilnie gromadzeniem przedmiotów pracy kobiet irlandzkich na wystawę amerykańską w Chicago. Oddział haftów i koronek, pochodzących z Irlandyi zostaje pod jej wyłącznym kierunkiem — pod jej wyłączną opieką, która przecież nie ogranicza się do dobrej woli jedynie. Szlachetna kobieta, umiejąca być zawsze czynną, gdzie tego potrzeba, zajmuje się gorliwie tą sprawą i przyzywała w niej sobie do pomocy wszystkie dostojniejsze duchu kobiety Irlandyi, a i pióro jej nie próżnuje. Wzywa ona przez dzienniki kobiety klas intelligentnych, aby zajęły się pilnie tą sprawą, w której obok zysków, obok wyrobienia dróg zbytu dla pracy robotnic irlandzkich, widzi jeszcze korzyść zaznaczenia się pokaznego pracy swego kraju w możliwie każdym kierunku. Możliwość przyznać tej szlachetnej jako dewizę życia słońca starego poety: — Czyń każdy w swoim kółku, co każe Duch Boży...

(Dokończenie nastąpi).

O WRÓĆ!...



Wróć, o wróć, aniele złoty!

Jak kwiat bez słońca, sehnę z tęsknoty,
Co dzień to częściej w twoją stronę
Posyłam oczy me stęsknione.

Co dzień spoglądam w dal bez końca,
Czy gdzie nie ujrzę mego słońca;
Czy mi nie błysnie znów z za chmury,
By z czoła spędzić mrok ponury?

O wróć, o wróć!... Czyż błagam mało?...
Bądź dla mnie znów gołąbką białą,
Jak słońce świeć na mojem niebie,—
O wróć, jam twój, ja czekam ciebie...

Jam twój, jam twój na życie całe!
Wyciągnij swe ramiona białe
I przyjmij mnie w objęcia swoje,—
Niech znowu marzę, śnię i roję.

Z twych ust ssąc miód i nektar boski,
Zapomnę dni powszednich troski,
Zapomnę smutki i zgryzoty...
O wróć, o wróć, aniele złoty!...

Selim.

PRACA KOBIECA

na wystawie w Chicago.

Amerykanki zajmują się bardzo żywo kwestyą udziału kobiety w powszechnej wystawie Kolumba, jak to wiemy już po części z listu korespondenta naszego. Obecnie biuro kobiecego oddziału wystawy przesłało redakcyi naszego pisma za pośrednictwem przewodniczącej, M-rs Beritii Palmer, obok zawartego w liście zaproszenia do wzięcia tu udziału, drukowane wyszczególnienie celów, jakie za pośrednictwem tej wystawy osiągnąć się dadzą. Troskliwe zajęcie się ogólną sprawą pracy kobiecej, obok szczególnej pracy Amerykanek, potęguje się tu, jak pisze M-rs Palmer, przez myśl wytworzenia tym sposobem jakoby nauki pogładowej w zakresie rozwoju pracy kobiecej: faktyczne wykazanie jej postępu na całym obszarze świata, obok postępu w dopuszczeniu kobiety do różnych, długo dla niej zamkniętych źródeł tej pracy.

Dlatego-to biuro kobiecego oddziału wystawy zaprasza usilnie do współudziału kobiety wszystkich państw i narodów, pragnie bowiem wykazać tak tym w życiu samotnym, które o własnej sile zdobywają sobie kawałek chleba, jak i tem drugim, które za pomocą wyższego wykształcenia naukowego, lub obdarowań artystycznych łatwiej torują sobie drogę samodzielnego istnienia, jakich kierunków trzymać im się należy — w jaką stronę zwrócić się mogą, aby praca ich przedstawiała wartość najwyższą, tak dla nich samych, jak i dla społeczeństwa, którego są członkami. Postanowionem też zostało przez zarząd oddziału, aby nie oddzielano bynajmniej, jak początkowo było to zamiarem, okazów pracy kobiecej od okazów pracy męskiej, a to na zasadzie, że kobiety i mężczyźni pracują razem tak w życiu rodzinnem, jak i na rynkach pracy, obok tego wystawczyźnie pragnąć muszą i pragną niewątpliwie, aby owoc ich pracy sądzonym był bezwzględnie. Chcą wiedzieć co jest ona warta, brana ogólnie i dlatego żądają sądu na ogólnych warunkach wydawanego. Jakość i ilość pracy kobiecej wtedy tylko w wartości swojej pojętą i ocenioną być może.

Biuro kobiecego oddziału wystawy otrzymało od rządu Stanów Zjednoczonych szacowny przywilej wybierania sędziów, wyrokujących w sprawie nagród dla tych przedmiotów, w których praca kobiety łączy się z pracą męską. Ilość sędziów niewieściech odpowiadać tu będzie stosunkowo ilości okazów, wystawionych tak przez kobiety, jak i tych, w których brała ona udział częściowy; ogólnie też rzecz biorąc, pierwszy to raz dopiero będzie się tu mogło wykazać, co rzeczywiście praca kobiety przynosi społeczeństwu swemu, nie tylko wtedy, gdy występuje samodzielnie, ale i wtedy, gdy jest pomocniczą, gdy kobieta pracuje wspólnie z mężczyzną. Według tej normy biuro kobiecego oddziału będzie miało prawo do większej, lub mniejszej liczby sędziów.

Niezależnie od okazów pracy niewieściej, mieszczących się w różnych oddziałach wystawy ogólnej, kobiety otrzymały przywilej wystawy własnej: „pałacu kobiecego” gdzie już kontrola wszelka będzie zostawać przy zarządzie biura kobiecego. W galeryi głównej zgromadzone zostaną okazy najdoskonalsze we wszelkich kierunkach pracy, a pochodzące od wystawczyń różnych krajów, tu

przecież nie one nadsyłać je będą, żądając umieszczenia, ale zarząd zwróci się do nich z prośbą o nadesłanie, przyczem postawiono sobie jako warunek pierwszy, podniesienie się nad wszelkie względy poboczne, i nie, prócz prawdziwej wartości dzieła niema tu miejsca mu czynić. Komissy pań, zorganizowanej we wszystkich krajach cywilizowanych, a dającej tytuł *pomocnicie biura wystawy*, powierzonym zostanie obowiązek wskazywania owych najdoskonalszych dzieł pracy kobiecej w zakresie tak sztuki, jak przemysłu. Ale pole pracy niewieściej nie ogranicza się do tego tylko; najszlachetniejsze czyny działalności kobiecej wykazują się w licznych aktach miłości bliźniego: miłosierdzie chrześcijańskie, dobroczynność, prace na polu wychowania, podniesienie się nad miłość własną, nad przesady kastowe pod uczyć tych działaniem staje się nieraz dla kobiety natchnieniem do cnót heroicznych, jakkolwiek w cichości spełnianych i zawiadamianie o tych aktach szlachetnej działalności kobiecej stanowić będzie wielką pomoc, tak dla komissy wystawowej, jak i dla dzieła, mającego prawo do sympatyj ogółu. Pragnie ono wykazać o ile kobieta zasłużyła się może społeczeństwu swemu i ludzkości przez podniesienie moralnego poziomu rodzin, więc narada a dobry przykład, jaki ztąd wypływać musi, niewątpliwie przyniesie owoce szlachetnego wzruszenia uczuć i skierowania myśli kobiecej ku celom wyższym, niż zadowolenie miłości własnej i zaspokojenie osobistych potrzeb swoich.

— Wszelkie stowarzyszenie niewieście, którego celem jest podniesienie poziomu uczuć i myśli kobiety, powinno się poczuwać do obowiązku możliwego rozszerzania wpływów swoich... pisze w dalszym ciągu M-rs Palmer i dodaje, że czuła się bardzo szczęśliwą, gdyby za pośrednictwem oddziału wystawy kobiecej można było zgromadzić w oddziale, na cel ten przeznaczonym, jak najwięcej metod wychowania, przez kobietę wytworzonych, lub stosowanych przez nią pożytecznie, a to poczynając od żłobków i ochronek, aż do najwyższych gałęzi nauczania w zakresie umiejętności i sztuki. Niemniej pożądaną są wiadomości o szkołach ręcznej pracy kobiecej i kobiecego przemysłu; o szkołach praktycznych pielęgnowania chorych, higieny, ekonomii domowej i w ogóle o nauczaniu kobiecym w tych przedmiotach zwłaszcza, które wykazują dowodnie, o ile kobieta może być w zawodzie właściwej swej pracy pożytecznym i zasłużonym członkiem społeczeństwa. W braku możliwości przedstawienia na wystawie rzeczy tych w okazach odpowiednich — pisze dalej M-rs Palmer — można przesłać opisy, plany, rysunki, obrazy fotograficzne, w ogóle „możliwie dokładne wiadomości o dziełach, które kobieta stworzyć umiała dla pożytku swego społeczeństwa, dla pożytku ludzkości i podniesienia moralnego poziomu tak pojedynczych osobistości, jak i grup, narodów“.

Gmach przeznaczony na wystawę kobiecą, a wzniesiony według planu nakreślonego przez architekta kobietę — kosztem miliona franków, będzie już poniekąd wystawą pracy kobiecej, ponieważ liczne posagi, karyatydy na których wspierać się mają ogrody wiszące, jak niegdyś w pałacu Semiramidy, będą wyłącznie dziełem kobiet, również jak freski — wszystko w ogóle co tylko siła kobiety, kobiety talent i chęć pracy wytworzyć może w zakresie danym.

Opuszczamy tu liczne i zajmujące szczegóły, wchodzące w plan wewnętrzznego urządzenia wystawy, ponieważ podane już zostały dokładnie w liście naszego korespondenta i tylko należy nam tu dodać, że znaczna liczba stowarzyszeń kobiecych rozłoży tu niejako warsztaty pracy swojej w kierunku szczególnie pożądanym udoskonalenia i możliwego ułatwienia działalności kobiecej tak w rzemiosłach na zbył, jak i w zakresie pracy domowej. Lekeye w rozmaitych rodzajach pracy będą tu również dawane, a między innymi kilka stowarzyszeń kobiecych nauczać będzie gotowania, łącząc je z objaśnieniami higienicznymi, z wykazem wartości pożywczej rozmaitych pokarmów. Obok tego odbywać się będą tak w tym zakresie, jak i w innych gałęziach pracy kobiecej konferencje, obejmujące nietylko pewne potrzebne kobiecie wiadomości, ale i narady, dyskusje

co do wartości porównawczej pewnych metod pracy, oraz nauczania.

Komissye niewieście współdzielące z pracą Biura wystawy proszone są przez M-rs Palmer, aby starały się: I-o Zgromadzać zbiory pracy kobiecej w kierunkach rozmaitych. II-o Zebrać możliwie największą ilość szczegółów statystycznych o pracy kobiet, tak odnośnie do przedmiotów wystawionych, jak i w ogóle z zakresu produkcji kobiecej. III-o Zwrócić uwagę Biura na dzieła pracy kobiecej godne poznania i uznania. IV. Donieść zarządowi Biura o kobietach posiadających wyższe znajomości techniczne, jakich potrzeba osobom, wybranym do komitetu sądującego. V. Czuwać nad tem gorliwie, aby dzieła wychowawczej pracy kobiecej, poczynając od szkółki elementarnej, aż do najwyższych gałęzi nauczania, były reprezentowane na wystawie, a w razie niemożliwości należy zastąpić je o ile się da przez plany nauk, rysunki, lub fotografie odpowiednie. VI. Należy czuwać komitetowi Biura, aby dzieła miłosierdzia kobiety, jej filantropii, a to odnoszące się do dbałości o zdrowie ludzkie, do czuwania nad tem, aby robotnica tak fabryczna, jak w innych gałęziach pracy, nie była przeciążoną, aby drugostronnie moralność jej nie ponosiła krzywdy jakiejś, zostały przedstawione na wystawie jak najliczniej i jak najdokładniej. VII. Wspomagać tę szczególnie część pracy zarządu wystawy, której jest staraniem o możliwie największy rozgłos tak co do samego dzieła wystawy, jak i jej celów. VIII. Wspomagać zarząd w usiłowaniach tworzenia kolekcji pewnych starożytnych okazów pracy kobiecej, jak: koronki, hafty, zbiory przedmiotów wartościowych z zakresu użytku kobiety. IX. Pośredniczyć w gromadzeniu dla niewieściej biblioteki wystawy możliwie największej liczby dzieł, pisanych przez kobiety, zwłaszcza w zakresie umiejętności, filozofii i sztuki.

M. I.

HAJOTA.

NAD PRZEPAŚCIAMI

(Wrażenia z Gór Afrykańskich).

(Dalszy ciąg).

Zirrytowani taką stratą czasu, wsiedliśmy ze Scottem do szalupy, zostawiając ciężką balenię z jej ładunkiem i załogą w *Basuali*, by jej napróżno może po tych skalistych brzegach nie ciągać.

Nie szczęściło nam się jednak dnia tego. Po godzinie niespełna żeglugi niebo za nami pokryły zbiegające się raptownie w półkole z dwóch przeciwnych stron czarne chmury. Huczał w nich grzmot stłumiony, przeciągły, coraz bliższy. To tornado nas gonili. Przed nami było jeszcze jasno i pogodnie.

Przeplýwaliśmy właśnie koło jakiejś nędznej przystani, nad którą na wysokim, wytrzebieionem potrosze wzgórz szarzały dwie na wpół rozwalone szopy. Scott, oglądając się niespokojnie za siebie, radził przybić do brzegu i choć mocno nie zadowolony z tej nowej zwłoki usłuchaliśmy go. Jakoż, ledwo szalupa wryła się w grunt, szalony wichur zatrząsł drzewami w górze, nadbrzeżne trzciny zachrząściły ogłuszającym grzechotem, z czarnej chmury, która dognawszy nas nad głowami naszymi zawisła lunął deszcz rześisty, deszcz podzwrotnikowy, a przypędzony wichrem bałwan wparł się z tyłu do łodzi zalewając nas i rzeczy. Rogoziński porwał mnie na ręce i mocując się z wściekłą wichurą wyniósł i postawił na brzegu, podczas gdy ludzie ledwo mogli dać sobie radę z szalupą, którą tornado chciał zapędzić na morze.

Przemoczeni do nitki, wdrapaliśmy się na urwistą pochyłość wzgórza, pędząc co sił do jednej z owych szop, z której wydobywający się dym zwiastował obecność ognia. Na drodze, którą przebież nam trzeba było, stało jedno jedyne, olbrzymie drzewo. Nim jeszcze dopadliśmy chaty,

potężny konar wielkości sporego dębezaka ułamał się i spadł z łoskotem tuż za nami, tak blisko, że parę jego drobnych gałązek otarło się o moje suknię, a zamiast lejących z góry strug, objęła nas na chwilę fontanna rozprysniętych gwałtownością tego upadku kropli. Chwila wcześniej, a nietylko wyprawa na Pik, lecz wszystkie sprawy doczesne były by roztrzygnięte dla nas w sposób ostateczny.

Huragan szalał. W chacie, do której schroniliśmy się, paru krumanów, pracujących na tej nędznej faremce, grzało się przy tlejącem na ziemi ognisku. Ale i to wkrótce zgasło, zalane potokami deszczu wpadającymi przez dach zruinowany. Zimno było dojmujące. Spędziliśmy tak ze trzy godziny, siedząc na ziemi błotnistej, w przemoczonym odzieniu, trapieni ulewą i głodem, bo w tem deszczowem bagnie niepodobna było dobrać się do jakichś zapasów, a te, co mogły być pod ręką, przesiąkły słoną wodą; zasypywani byliśmy od czasu do czasu wilgotnym, gorącym jeszcze popiołem, którego tumany każdy gwałtowniejszy podmuch wiatru po chacie roznosił.

Ze jej nie rozwalił, to chyba tylko przez pogardę dla tak lichy zdobyczy; bo w górze nad nami, wśród kanonady piorunów słychać było wciąż trzask i głuchy huk padających leśnych olbrzymów.

Nakrótka przed zachodem słońca uspokoiło się; mogliśmy popłynąć.

Niebo i morze, to pierwsze nisko opuszczone, strzępami chmur okryte, to drugie wzdęte i pianą zbryzgane, ciążyły ku sobie, pierś do piersi, niby dwaj atleci, ce po skończonej walce, w której zwyciężył nie było, mierzą się zaiskrzonym wzrokiem i dyszą żądzą nowych zapasów. Na zachodzie, w kłębach brudno-czerwonawych chmur zanurzone słońce, mrugało ku nim pobłażliwie okrągłą, purpurową żrenicą, idąc spać śpiesznie, bez ostentacyi, jakby znudzone miotaniem się tych podwładnych mu tytanów. Góry stały groźnym, ciemno-granatowym murem, po którym grube płachty białej jak śnieg mgły wieszwały się ciężko, przesiąkłe wilgocią. Wzdłuż brzegu szerokim pasem leżała, niby opadła kurzawa huraganu, drgająca ławica naniesionych z gąszczu liści — tychsamych w cudne barwy malowanych liści, które mnie tak wczoraj zachwycęły, a które teraz robiły wrażenie jakiegoś zatrzęsienia poszarpanych skrzydeł całego motylego świata.

Wielkie gałęzie, ciśnięte potężną dłonią tornada niby piórka, aż na pełne morze podnosiły się na białych garbach bałwanów i zapadały w ich zielonawe zagłębienia. Wielkie szkielety trzein uwijały się pomiędzy niemi, wlokąc za sobą długie warlocke lianów. Wtem pośród tego roślinnego pobojuwiska ujrzeliśmy dużą, wywróconą dnem do góry pirogę, bujającą posepnie swój czarny, pusty kadłub: istny wodny kurhan nad wodną mogiłą... Już w powrocie z Piku dowiedzieliśmy się, że czterech płynących w tej pirodze do swego *Besé* Bubisów zatopił dnia tego tornado, z którego szponów tak szczęśliwie ująć nam się powiodło.

Późno znowu przybyliśmy do *Bau*. Jest to farma bogatego murzyna Vivoura, który po brzegach całej wyspy porożnucane ma większe i mniejsze plantacje kakao, a majątek swój liczy na setki tysięcy funtów sterlingów.

Na spotkanie nasze wyszedł zawiadowca tej plantacji, młody, bardzo przystojny murzyn Sierra Leoneczyk z jasno oliwkową cerą, mówiący angielsko-hiszpańsko-portugalskim żargonem i uprzejmie ofiarował nam nocleg w porządnym domu z kalabarów, czyli lat drzewnych zbudowanym.

Do *Bau-besé* czyli wsi bubiskiej, właściwego celu naszego tu przybycia w górze nad farmą leżącej, zapóźno już było iść; Scott tylko wybrał się tam na noc, obiecując, że rano z pomyślnym rezultatem wróci.

Deszcz zaczął znów padać. Kucharczyk nasz zgotował nam kolacyę w podróжных kociołkach i zasiedliśmy do niej mając za widzów owego Sierra Leoneczyka i grubą jak beczka bubiskę, tradeskę Vivourea czyli handlarke, która dla niego olej palmowy u Bubisów skupowała. Pierwszy raz w życiu widząc białą kobietę, przglądała mi się z niezmiernym zajęciem; a gdy po

skończonem jedzeniu wzięła się do pisania, podziw jej nie miał granic. Kładła mi się prawie na plecach, zaglądając przez ramię i wykrzykując z zachwytem. Sierra Leonczyk ruszał lekceważąco ramionami na te naiwne extazy. Widocznem było, że się uważa za światowca, któremu już nie zaimponować nie może. Zapytany: jak się nazywa? odparł: „Alfonso“. „Alfonso doce“ (dwunasty) dodał z naciskiem i wskazał na ściany izby, na których białą kredą nabazgrane imię zmarłego hiszpańskiego króla powtarzało się nieskończoną ilość razy. Następnie oryginalny ten spadkobierca tytułu monarszego życzył nam dobrej nocy upominając abyśmy całą noc światło palili, bo inaczej szczury nam spać nie dadzą, a w dodatku mogą któremu z nas piętę odgryść, jak się to już tu kilkakrotnie zdarzyło; ludzka pięta bowiem jest ulubionym szczurzym przysmakiem.

Pomimo tak zachęcającej pespektywy, ukazanej nam na dobranoc, spaliliśmy wybornie i obudziwszy się rano, mieliśmy przyjemność przekonać się, że pięty nasze pozostały nietknięte.

Wkrótce nadszedł Scott z kacykiem *Bau-besé*, starcem potwornie brzydkim i ślepym na jedno oko, z ohydnyemi resztkami dwóch samotnych zębów w pustych szczękach, które ciągle pokazywał, narzekając, że go bołą. Nam jednak, którzy nie przybyliśmy tu szukać Antinousów, wydał się bardzo sympatycznym ponieważ po nieuniknionych palawrach oznajmił, że przewodnika da, ale dopiero jutro; jest on bowiem w górach na polowaniu i trzeba dopiero po niego posyłać. Razem z kacykiem przyszedł dwie jego żony, umazane szkaradnie *N'toli*, czyli czerwoną pomadą, wyrabianą z rośliny tego nazwiska i oszpecającą już i tak dostatecznie szpetne, podłużnymi bliznami od nacięć nożem (innej znowu ozdoby) pokiereszowane twarze bubiskie. Cała ta gromada—bo i kilka wyrostków się znalazło—usiadłszy na ziemi w izbie dotrzymywała nam towarzystwa aż do zmierzchu, paląc fajki i pogryzając kolę. Mogę zaręczyć, iż nie przyczyniali się zgoła do odświeżania powietrza, a deszcz padający przez cały dzień, nie pozwalał wychylić się z izby. Na dobitkę kacyk, powziawszy do mnie dziwne zaufanie, gdzieś się obróciła, zachodził mi drogę, prezentując swoje bołące zęby i prosząc o trochę tytoniu lub wódki, co miało być niezawodnem lekarstwem na jego dolegliwości.

Alfonso XII znudził nas także, opowiadając szeroko dzieje swojego żywota. Miał dwa olbrzymie morskie żółwie, kłapiące swemi grubemi łapami na trawie za domem i namawiał nas koniecznie, byśmy je kupili. Ledwie można mu było wytłumaczyć, że byłby to zapas żywności co najmniej uciążliwy do zabrania w góry. Wtedy zażądał, żeby mu podarować koszulę, gdyż, jak się wyraził, niema co na grzbiet włożyć. Widocznie tytuł królewski skąpo go jakoś okrywał.

Minał nareszcie ten dzień męczący, jak każda zwłoka, gdy pilno do celu. Baleniera, po którą posłaliśmy, przybyła z *Basuali*. Kacyk z orszakem swoim odszedł, zaręczając, że gdy staniami w jego *Besé*, już tam przewodnik czekać na nas będzie.

Nazajutrz szarzało jeszcze, gdy zerwaliśmy się, niecierpliwi, z polowych łózek naszych. Dotychczas przecież był to tylko prolog, przeciągający się nad miarę. Po wczorajszym deszczowym dniu poranek nieoczekiwanie był pięknym.

Ludzie nasi stanęli rzędem przed domem i każdy swój pakunek otrzymał. Tradeska, ujrawszy mnie w męzkim stroju, za nie uwierzyć nie chciała, że to tasama biała „Mami“. Była pewną, iż jakiś nieznajomy chłopiec wczoraj wieczorem szalupa przyjechał i szukała mnie po całym domu.

Uśmialiśmy się z jej naiwności, ale bardziej jeszcze zabawił nas pan Scott, który przed sanym wymarszem tajemniczo wziął Rogozińskiego na stronę, radząc mu, aby mnie na farmie w *Bau* zostawił.

„Ja to brałem za żarty, że się „Missis“ na Pik wybiera“ mówił: „Myślałem, że popłynie tu tylko z nami i zostanie. Niech jej pan lepiej nie bierze, bo to nie dla kobiety droga.“ „Missis“ gotowa umrzeć na górze, a tu będzie zupełnie bezpieczną do naszego powrotu.“

Śmiejąc się, wytłumaczył mu Rogoziński, że bia-

łej „lady“ nie zostawia się jak pakunku po drodze, i upewnił go, że się nie potrzebuje obawiać o moje życie. Kręcił mocną głową pan Scott, ale ustąpić musiał.

Ruszyliśmy wreszcie. Scott, jako znający drogę do *Bau-Besé*, otwierał pochód. Dalej szedł kruman Tai, piastując skrzynkę z barometrem, za nim my, aby mieć ciągle na oku szacowny instrument, w tyle długa defilada tragarzy.

Minąwszy po kamieniach rzeczke, której źródła miały het w górach gasić nasze pragnienie znaleźliśmy się u stóp szerokiej i odrazu bardzo bystro pod górę pnącej się drogi.

Spojrzałam i przetrąłam oczy: Czary, czy—śnieg przedemną? Naturalnie ani jedno, ani drugie, tylko gruba warstwa drobniutkiego białego kwiecica sypiącego się cichym deszczem za najbliższym podmuchem powietrza z nieznanych mi wysokich drzew splatających w górze łukowate swe gałęzie.

Kwieciem tedy stał nam się nasz szlak górski na początek, ale był to tylko ludzacy uśmiech zalotnicy, która zupełnie co innego daje, niż dać zapowiada. Po wczorajszym deszczu rozmiękła ziemia ślizką była jak szkło; zresztą było to jedna szachownica wybojów głębokich, i sterczących, omszałych kamieni, ten gościniec bubiski, z którego kacyk zdawał się przecież bardzo dumny, gdy nas zapewniał wczoraj, że do jego *Besé* idzie się drogą wygodną i piękną. „Wygodną i piękną“ myślałam, potykając się co krok i chwielejąc na tych szklistych stromościach, z których jakaś siła niewidzialna zdawała się mnie w tył ciągnąć. Cóż to będzie dalej?

Tymczasem ustał nam jeden z krumanów, który już w *Basuali* miał febrę—siadł na drodze jęcząc i trzeba go było na dół do *Bau* odesłać. Szczęściem wysłane na nasze spotkanie dwie żony kacyka rozdzieliły pomiędzy siebie jego ładunek.

Po dwugodzinnym marszu spadziłość gruntu zaczęła łagodnieć i ujrzelśmy pierwszą palisadę z bangów (palmowych łodyg) zwiastującą miasto bubiskie. Minąwszy ją, znaleźliśmy się na wyczyszczonej starannie, okrągłej jak arena cyrkowa polanie, na której Bubisi przy blasku księżyca odprawują swe tańce i religijne obrzędy. Zwie się ona *Rioso*.

Dalej szliśmy już drogą względnie równą i płaską wśród dwóch puszystych żywopłotów bujnej roślinności, różnobarwnem kwieciem przetykanej. Gdzieniedzie przerywały ją plantacyjki *N'toli* lub rodzaj sztachetowania, na którym rozpięta pięła się kalebasa i dojrzały jej dynie już z nadanym sztucznie kształtem pękających flaszek o długich cienkich szyjkach.

Dwie takie kalabasy, wiszące u niskich opłotków, strzegły wnijscia do zagrody bubiskiego księcia. Na czysto umiecionym placu w wieńcu bananów i palm stała bambusowa chata, ze stożkowatym dachem, spuszczać się do ziemi. Wyszedł z niej, a raczej wypełznął przez mały otwór, jednooki nasz przyjaciel i po pełnem godności powitaniu oznajmił, że przewodnik dotąd nie nadszedł, ale to nic nie szkodzi, gdyż on ma nadzieję, że zabawimy w jego mieście do jutra i podarujemy dużo dzynu mieszkańcom, którzy mają ochotę ucześć nas wieczorem tańcami na *Rioso*. Tak się spodziewał kacyk; ale my nie po to zerwaliśmy się przed świtem, żeby o dziewiątej z rana utknąć na całą dobę w bubiskiej wiosce. Zresztą te ciągle zwłoki groziły wyczerpaniem zapasów naszych obrachowanych na dni dziesięć, z których już cztery tak dobrze jak zmarnowane były za nami.

Oświadczył tedy Rogoziński kacykowi, iż to owszem szkodzi, i to tak dalece, że jeżeli przewodnik natychmiast się nie stawi, wrócimy na dół, uważając układ za zerwany.

Długo trwały palawry; te nieskończone afrykańskie palawry, mogące samego Hjoba do passyi doprowadzić; przyczem zauważyłam, że stary cyklop bubiski zupełnie był zadowolony przez swe na ceglasto ufarbowane nimfy, z których najmłodsza, widocznie bardzo tańców żadna, głównie go do oporu pobudzała.

Lecz stanowczość nasza i obietnica wyprawienia upragnionego balu za powrotem przezwyciężyły interessowną gościnność. I przewodnik, choć niby

gdzieś w gąszczu antylopy tropiący, znalazł się jakoś raptem, a po uroczystych zapewnieniach z jego strony przez usta Scotta, że wybornie zna drogę i złożenia fuzyi wraz z prochem na ręce kacyka z naszej, cała karawana stanęła w pogotowiu.

Słońce wzbilo się przez ten czas wysoko i prostopadłe jego promienie paliły nas silnie, ale nie trwało to długo. O kilkaset kroków za wioską znikły pióropusze bananów, powiewające nad półkami pod uprawę jamsu przygotowanymi, znikły niskie kwadraty *N'toli* i wysokie cienkie trawy; droga stawała się coraz węższą, coraz bardziej stromą, aż utonąła w nieopisaną gęstwinie afrykańskiego boru. W jednej chwili objął nas cień głęboki, nigdzie jedną bodaj strzałką słońca nie przebiły, i owiała chłodna a duszna atmosfera wieczystej wilgoci i wieczystego rozkładu gnijącej roślinności.

Choć oswojona już z potęgą podrównikowej wegetacji, bardziej jeszcze rozwielnionej na Fernando Poo niż na sąsiednich brzegach, zdumiałam, ujrawszy się w tych kłębach zieleni, w tej gmatwaninie pni, konarów, korzeni staczających się po prostopadłym niemal grzbiecie wzgórza, na które zaczęliśmy się wspinać, zostawując za sobą pierwszy szczebel drabiny Ciarence-Peaku płaskowzgórza *Bau-Besé*.

Roślinność była też tu inna zupełnie. Palmy i trawy skończyły się—a ich miejsce zajęły pyszne paprociowe drzewa o smukłych, koleczatych pniach, uwieczonych delikatnem jak korona listowiem, obrosłych czarnym, wilgotnym mechem i podszytych gęstwą grubo mięsistych, szerokolistnych krzewów. Pomiedzy tę młodzież leśną wtaczały się z brutalnym egoizmem starości potworne kadłuby drzew odwiecznych rozpościerających swe olbrzymie konary w nieskończoność dziwnie pokręconych arkad, gniotących bezlitośnie wątle wachlarze paproci i tłumiących ich bladą zielenią jaskrawością swych liści różnobarwnych. U stóp ich szare węzowiska korzeni opłatały ziemię, stercząc nad nią wysoko miejscami, jakby w jakimś konwulsyjnym rzucie zniechęcone, ślizkim, mocno zielonym mechem centkowane. Fontanny lijanowych porostów wytryskiwały z każdego pnia, zlewając się wzajem i zapełniając skwapliwie każdą przerwę, przez którą kropla słonecznego złota lub błękitu nieba kapnąć-by mogła.

Wąziutka ścieżyna, nitka raczej oślizgłego kamienistego gruntu, nogami bubiskich myśliwców wydeptanego, wciskała się we wnętrza tego ruchomego, szelestów i szumów pełnego muru.

Spadziłość była tak wielka, że co chwila należało literalnie wciągać się rękami, chwytając za najbliższy pień lub korzeń, a ilekroć spojrzałam w górę, widziałam zawsze tuż nad sobą pięty krumana z barometrem, który mnie tylko o kilka kroków wyprzedzał.

Często, pałakowato przerzucony korzeń zagrażał przejście niską arkadą, pod którą niemal plackiem przepelnawszy, trafiało się na wysoką na parę metrów barykadę pni wywróconych, zatrzymującą cały pochód, dopóki jedni przez drugich podsadzeni nie wdrapali się na zarojony mrówkami wał, zeskakując już potem z łatwością na wywyższony po drugiej stronie grunt.

Ścieżka wiodła po samym zębie wzgórza, tak, że gdy po lewej ręce mieliśmy jego garb, ginący w zatłoczeniu następujących na siebie drzew, z prawej otwierały się jakby nisze głębokie, opierające swe wnętrza o pierś innego wzgórza, oddzielonego od nas otchłanią, której się nie widziało, bo wypełniała ją jak wszystko dokoła powódź roślinna, lecz którą się czuło, gdy raptem pomiędzy dwoma pniami tuż u stóp własnych ujrzało się, na równym z niemi poziomie wierzchołek podnoszącego się gdzieś z dna przepaści olbrzymiego drzewa, podobnego tym, które się nad nami w sklepienie bez końca zamykały.

Było to rzeczywiste zanurzenie się w samo centrum macierzystego łona natury, to stapanie po linii zetknięcia się korzeni z koronami, początku z końcem. Jakiś oszałamiający nadmiar żywotności wrzał tu i zapierał oddech w piersiach i gniótł myśl w minotaurowych kregach swej dzikiej, ślepej siły. Posępne kadzielnice wilgoci, błękitnawymi oporami dymiące z jam i bruzd przez zgnili-

znę wyżartych; sino-zielonawe półświatło, sączące się z góry przez fantastyczne fioresy leśnego sklepienia; stopy zbutwiałych liści poruszające się nieprzyjemnie ukrytem w nich życiem tych tysiącznych, tropikalnych płazków, robaków, owadów, którym każda psująca się materya jest przerażająco płodną rodzicielką; mokre mechy polyskujące mętnie na brunatnej chropowatości pni; strugi lijanów zielonym deszczem spływające z gałęzi, — wszystko to technie dziwną, wrogą człowiekowi tajemniczością.

Przyroda nie idzie tu na jego spotkanie z otwartymi ramionami, uśmiechnięta, rada jak przyjaciółka, pobłażliwa jak dobra królowa, która majestat swój tłumi, by nim nie onieśmielać, piękna, jak źródło natchnienia, boska, jak odradzająca potęga, lecz następuje nań z góry z pychą i zaciętością, chmurna nieodgadniona, zdając się szeptać złowieszco: „Idź precz! Idź precz!”

Pierwszy to raz znalazłam się tak oko w oko z tem, co Europa nazywa dziewiczym lasem i otacza taką poetyczną aureolą, z tą zakłęta krainą, w której mają drzemać wszystkie czary i cuda tropikalne, i doznajam uczucia wielkiego rozczarowania. Zrozumiałam także odrazu, jak alpinista i taternik co przywykł po otwartych skłonach wdzierać się na szczyty, widząc swój cel przed sobą, darmo-by szukał znajomych wrażeń i uczuć górskich na grzbietach afrykańskich wyżyn.

Zapewne tam i tu jest walka: tylko tam śmiałość i zręczność, tu wytrzymałość i przezorność zwyczajna; tam oko mierzy się z niebezpieczeństwem, tu, musi je zgadywać; tam wspaniała różnorodność widoków, czarodziejskie efekta światła i linii, rozmarzające uroki perspektywy; tu bezbrzeżna monotonia potęgi, w jednym wytyczonej kierunku; tam, każdy krok szersze widnokręgi otwiera, każdą kroplę potu czystszy, wolniejszy powiew ochładza; tu, jedynie wysiłek fizyczny i czas mówią ci, że się dźwigasz — *excelsior*. Tam człowiek staje się ptakiem, tu kretem. Tamto, jest rozwesalającą umysł gymnastyką ciała, to mozolną posępną pracą w kopalniach.

Przewodnik nasz *Tiogo*, należący do arystokratycznej kasty *Butuków* skrepowanej mnóstwem rytualnych przepisów, trochę Talmud przypominających, zabrał był ze sobą dwie swoje żony, nie w obawie jakiejś nadzwyczajnej za niemi tęsknoty, lecz aby mu w drodze gotowały jedzenie. On bowiem nie tylko sam sobie gotować nie może, ale nie wolno mu nawet jeść z innych naczyń niż z własnych, wyłącznie do tego użytku przeznaczonych, co dopiero pożywić się z garnka białego człowieka (*Bukara*).

Powabne te niewiasty widząc, że po dwóch godzinach forsownego marszu z coraz większym wysiłkiem windując się pod górę, chciały mi dopomóc, i wzięwszy mnie między siebie, jedna z przodu, druga z tyłu, — bo tu tylko gęsiego posuwać się można — tak osobliwie dokuczliwym sposobem zmanifestowały swe dobre chęci, szarpając, mnie szczypiąc i obmazując *N'tola*, że podziękowałam im czempredzej, uniósłszy na pamiątkę ich gorliwości kilka siniaków w okolicach ramion i bioder.

To mi przypomniało naszych przewodników tarzańskich, ich nieźrównaną zręczność i delikatność w ułatwianiu gościom przejść trudnych. Ach! jak by mi się który z nich tu przydał! Choć, co prawda, w tych wąziutkich afrykańskich tunelach roślinnych, przez które pojedynczo z trudem przećcisnąć się można, najumiejętniejsza pomoc bywa najczęściej nie do zastosowania.

Nakrótka przed zachodem słońca, którego skośna, krwista smuga tu i owdzie wkręcała się pomiędzy pnie, zamieniając w rubiny przejrzyste listki paproci, usłyszeliśmy szum bystro pędzącej wody. Była to zapowiedź rzeczki *Koté*, przy której mieliśmy rozbić namiot na pierwszy nocleg. Po niejakiem czasie i ona sama wypadła jak z otwartej raptem paszczy, z głębokiego, wąskiego parowu, który, ryjąc pierś wzgórze, węzeł po niem na prawo w dół przebiegał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NIEWOLNICA.

POWIEŚĆ

przez

Bronisława Grabowskiego.

(Dokończenie).

W kilka dni potem Talski był zajęty lekcją ze Stasią i widząc jej dziecięce zaciekanie oraz bystre chwytnie w lot każdego słowa, wykladał z wielkim zapałem, gdy do pokoju weszła służąca i oddała list Kołoszewiczowej.

Pani Józefa rozdarła niecierpliwie kopertę i zaczęła czytać. Naraz zbladła niesłuchanie, opadła na krzeselko, zdawało się, że odchodzi od przytomności.

Talski poskoczył do niej.

— Stasiu, przynieś mamie wody — zawołał. — Co pani się stało?

— Nic... nic... odebrałam anonim.

Talski pochwycił list ze złością i nie zastanawiając się, czy ma do tego prawo, zaczął czytać. Od pierwszego rzutu oka poznał szkaradne kulasy, które zezowata Pelasia stawiała na rachunkach domowych.

List brzmiał w taki sposób: „Niegodziwa marnotrawnico! Nie dość ci było tego, żeś męża doprowadziła do grobu, ale dziś jeszcze bałamucisz innych mężczyzn, choć już czas, żebyś zaczęła żałować za swoje grzechy....”

Pan Justyn nie czytał dalej. Z niesłuchanym u niego wybuchem złości zniósł zabazgrany papier i rzucił do pieca.

— To już taki drugi — szepnęła wdowa.

— Jedź pani do Warszawy! jedź niezwłocznie! — mówił Talski, trzęsąc się z oburzenia. — Uciekaj co żywo z tych miejsc, gdzie ludzie tak złośliwie patrzą na rzeczy, gdzie ktoś może zdobyć się na tyle czelności i takim pociskiem ugodzić w niewinnych ludzi. A co się tyczy nieboszczyka...

— Wiem o wszystkim — rzekła cichym szeptem, obejrawszy się niespokojnie za Stasią, która jeszcze nie wracała z wodą. — Ludzie nie utrzymali tajemnicy, pomimo zobowiązania się słowem honoru, doszła ona i do mnie.

W dwa tygodnie potem Kołoszewiczowa, sprzedawszy część mebli i sprzętów, a część zabrawszy ze sobą, wyjechała na stałe mieszkanie do Warszawy.

Talska wiadomość o tem przyjęła z niesłuchanym zdziwieniem. Zdziwienie to doskonale wyjaśniło Talskiemu położenie rzeczy: teraz już wiedział na pewne, kto bezczelne anonimy zezowatej jaszczurce dyktował.

XV.

Minęła zima, wiosna wybrała się dość późno i niedługo hawiła na świecie, ustępując miejsca dość umiarkowanemu ciepłemu latu. Czerwiec owego roku był cudowny, jakby chciał wynagrodzić ludziom Maj wietrzny, dżdżysty i błotnisty.

Po ogrodzie przechadzał się samotnie mężczyzna bladej, wyschły, osłabiony tak, iż ledwie nogi włókł za sobą, opierając się laską i co pewien czas przysiadając to na tej, to na innej ławce.

Był to pan Justyn.

Talski zaczął chorować coś w końcu zimy, chodząc jednakże ciągle do biura. Dopiero słoty wiosenne i pogorszenie w stanie zdrowia zamknęły go przez dwa miesiące w pokoju. Lubo bynajmniej nie czuł się zdrowszym, jednakże doktorzy zalecili mu przebywanie na świeżem powietrzu. Za ich wpływem gospodarz domu, który zazwyczaj ogród przed lokatorami szczelnie zamykał, zrobił wyjątek dla pana Justyna i nawet sam go do przechadzki w nim zachęcał.

Pan Justyn czuł dobrze, iż zbliża się kres jego żywota. Lecyli go z obowiązku urzędowego sta-

ry rutynista doktor powiatowy i młody nowator i reformator medycyny *in spe*, doktor miejski. Obaj Eskulapowie na określenie choroby zgodzić się nie mogli, ciągle toczyli spory o nazwy łacińskie samej choroby i różnych jej symptomatów, ale obaj zgodzili się na to, że stan pacjenta jest niepomysłny i słabą daje nadzieję powrotu do zdrowia.

Talski wobec myśli o śmierci czuł dziwną rezygnację, uspakajających frazesów doktorskich słuchał z uśmiechem niedowierzania, rozumiejąc doskonale ich nieszczerłość. Niechętnie także przyjmował posługi krzątającej się około niego żony i jej wychowanki, odczuwał nękanie, jakim dla jednej i dla drugiej są brzemieniem.

Przechadzki po ogrodzie były mu tem miłsze, że dawały upragniony spokój samotności.

Dziś w tej krętaninie po niewielkim ogrodzie rozmyślał o całym paśmie minionego żywota: i wydało mu się dziwnie czerem i marnem. Tylko napędzało mu serce tkliwszem uczuciem wspomnienie tych kilku lat, które spędził w uniwersytecie, i potem po skończeniu, kiedy dawał lekcye, wyczekując na kawałek chleba.

Był to okres życia dziwnie piękny, słodki, uroczy nawet — pełen wzniosłych porывów, uniesień, pragnień szlachetnych i drobnych czynów filantropii i miłosierdzia. Jakżeż uroczem wydawały w perspektywie tylu lat ubiegłych jego mieszkanko na poddaszu, prosty stół drewniany, zarzucony książkami, długie rozmowy wieczorne z kilku takimi, jak on sam, młodymi marzycielami i zapaleńcami, zachwyty na operach i dramatach z wyżyn paradyzowych, wędrówki po ubogich uliczkach nadwisiańskich, w towarzystwie świeżo upieczonego medyka, Józia Stolewskiego, który w oczekiwaniu wyrobienia sobie płatnej praktyki robił wycieczki po siedzibach ubóstwa i nędzy, wyszukując chorych, dla których pomoc lekarska była zbytkiem nad siły i możność! Brał on zazwyczaj ze sobą Talskiego, bo ten umiał przemawiać do ubogich i nieszczęśliwych, a nieraz zainteresował się jaką wdową, obarczoną dziećmi, jakim schorowanym rzemieślnikiem lub robotnikiem, i w kilka dni potrafił między ludźmi zebrać składkę i dać im choć dorywczą pomoc.

W tych wędrówkach spotykali nieraz „świętą hrabinę“, owego anioła opiekuńczego biedy i nędzy warszawskiej. Lekki uśmiech wykrzywił usta chorego, bo przypomniał sobie, jak pewnego razu w młodzieńczym uniesieniu zatrzymali ją na ulicy i ucałowali kraj jej szaty. Narobili strachu biedaczce, nie rozumiejąc bowiem owego i improwizowanego uczczenia, uciekała co żywo, sądząc, że stała się ofiarą jakiejś zaczepki ulicznej.

Talskiemu serce biło żywiej na te wspomnienia, dziwne ciepło rozlewało się po całej istocie, zdawało mu się przez chwilę, że odzyskał zdrowie, siły, młodość, zapał, żądę czynu. Zerwał się z ławki, począł chodźć szybkim krokiem po ogrodzie, naraz napadł go paroxyzm gwałtownego kaszlu, a potem osłabiony padł znowu na ławkę.

Oddychając głęboko, nadstawiał ucho na gwar, dolatujący z ulicy. Był to dzień targowy; po ulicy rozlegał się turkot wozów, gwar głośnej rozmowy, czasami wybuchający w hałaśliwą wrzawę, słowem: wrzenie życia i ruchu ludzkiego. Oddziaływało to na Talskiego niby szum fal na człowieka, stojącego nad brzegiem morza, szum, co rozmarza, odurza i ciągnie ku sobie niby śpiew syreni.

Ten gwar, ruch, wrzawa obudziły w najtajniejszych głębiach chorego dziwne niepomahowane pragnienie zdrowia i życia. Ach, jakże pożałował rzucenia się w te rozkołysane fale żywota, jakże pragnął żyć z ludźmi, śmiać się, radować z nimi, pomagać i pocieszać, choćby nawet pasować się, walczyć z nimi! Lecz darmo, próżnoby wyrwał się, szarpał, miotał — nie dla niego żywot, gwar, ruch, walka... on już odchodził od świata i ludzi.

Jakiś niewidzialny elf, czy demon, szeptał w nim, że on już dawno odszedł był od świata i ludzi. Od czasu, gdy stąpił na bruk Płonnica, nie żył dla nich, co więcej, nie żył dla siebie. Miał wprawdzie dwie chwile, w których coś lepszego był rozpoczął, ale cóż? kiedy dał sobie wydrzeć rozpoczęte dzieło i pozbawić się słodkiej rozkoszy uszczęśliwienia siebie samego przez uszczęśliwienie innych.

Talski nigdy przed nikim nie żalił się na żonę, nawet nie obwiniał jej przed sobą samym. Wsze-

lako w tej chwili tak straszliwa gorycz wezbrała w jego duszy, że gotów byłby iść choć przed tron Boży ze straszliwą skargą na towarzyszkę swego żywota. W tej chwili czuł w całej pełni krzywdę, którą mu wyrządziła, najcięższą z krzywd ludzkich, bo czyż może być cięższa krzywda, jak gdy człowiek człowiekowi powściąga rękę od zbawczego czynu? — gdy mrozi, odrętwia, obezwładnia jego istotę?

Talski powstał znowu z ławki i chciał chodzić, ale nogi chwiały się pod nim, zaledwie włókł je bezsilnie. Po jakimś czasie palący, gryzący ból, co szarpał mu wewnątrz, poczęł łagodnieć, uspokajać się, żal mu zrobiło się żony, którą przed chwilą gotów byłby stawić przed nieubłaganim sądem, domagając się kary i pomsty.

Szlachetna jego dusza próbowała usprawiedliwiać, uniewinniać winowajczynię.

— Co ona winna — myślał sobie, — że wychowała się helotką od dzieciństwa, w atmosferze czczej pychy, układowego samolubstwa, ocieężałości, pospolitości duchowej? Czyż to co dziwnego, że kiedy ją wziętem z tego domu niewoli, zabrała z sobą nałogi i ideały niewolnicze, ospałość ducha, ograniczenie umysłu, nie wybiegającego dalej ponad pragnienie mis egipskich, szat wytwornych i niezamąconego, niezakłóconego ani własnym kłopotem, ani cudzem cierpieniem... spokoju? Czemuż nie starałem się otrząsnąć jej z tych nałogów i pojęć, czemu pozwoliłem, aby ta powszedniością, pospolitością, sennym egoizmem zakaziła jeszcze moją własną, zaprawiającą się do lepszego... istotę? Nie wydobyłem jej z bagniska wyobrażeń niskiego samolubstwa, owszem, sam pozwoliłem wciągnąć się do niego i to niemal... bez walki... tak jest, bez walki, nie usiłując nawet przekonać jej, że takie życie nie daje prawdziwego szczęścia, istotnego zadowolenia, że nie jest życiem człowieka, ale...

Wtem popchnięty jakimś nieokreślonym popędem spuścił oczy ku ziemi, lecz wnet cofnął się ze wstętem, niemal z przerażeniem. W kącie zagonu pod liściem wielkiego łopianu siedziała ogromna, nieruchawa, obrzydliwa ropucha.

— Życiem... ropuchy — dokończył swej myśli Talski.

Teraz wezbrała w nim gorycz, lecz już przeciwko sobie samemu. Myśl ta męczyła go, torturowała, paliła w mózgu, kłóła w oczach. Chory pragnął otrząsnąć się z niej i dlatego usiadł na ławce i podniósł leżący na ziemi numer jakiegoś pisma, które przyniósł był ze sobą. Pragnąc czytać dla zagłuszenia się, rzucił okiem na jakąś w nim poezję, między innymi pochwylił te cztery wiersze:

Za to, żeś szedł przez życie ścieżkami snadnymi
I nie spełniał zadania swojego na ziemi,
Teraz cierp po niewczasie i męcz się okropnie
Za stracone swych bliźnich do zbawienia stopnie.

Talski opuścił rękę z zadrukowanym papierem. Uczuł w głębi sumienia, że cierpi za stracone do zbawienia stopnie... swoje i jej... i może niejednego jeszcze z bliźnich, mimo którego przeszedł w życiu obojętnie, bez udziału w potrzebach jego ciała i duszy.

Tymczasem w pokoju, przy otwartym oknie siedziała pani Walerya, trzymając w ręku robótkę. Nie robiła jej jednak, tylko snuła nieprzyjemne dla siebie myśli o chorobie męża, którego sylwetka migiała jej przed oczyma przez sztachety ogrodu.

Talska nie rozumiała niebezpieczeństwa, grożącego jej mężowi. Z zupełną wiarą przyjmowała uspakajające frazesy doktorów, snadź przez ograniczoną umysł, a może dlatego, że te godziły się z jej usposobieniem, pragnącym spokoju, niezakłóconego ani swoim, ani cudzem cierpieniem. Przedłużająca się jednak choroba Talskiego gniewała ją niepomiernie, tem więcej, że źródłem jej, jak przypuszczała, był szal późniejszy: miłość dla kobiety, zestarzałej przedwcześnie. Porównanie siebie samej, swej urody, zachowanej, zakonserwowanej w życiu leniwym, spokojnym, z przynębiającą, pomarszczoną powierzchownością Kołoszewiczowej drażniło jej dumę i napełniało ją niewymowną złością.

Przez tę dumę i ograniczoną umysł ani na chwilę nie przypuszczała, by podejrzenie jej było

tak dalekie od prawdy. Jak nie przypuszczała, by zajęcie się dolą wdowy i sieroty mogło płynąć z innego, a nie z erotycznego źródła, tak nierozumiała, by obecne cierpienia męża były wynikiem czegoś innego, a nie rozerwanego gwałtownie romansu.

Rozmyślania te odbiły się wyrazem gniewnym i złośliwym na obliczu pani Waleryi.

Wyraz ten uderzył doktora miejskiego, który w towarzystwie swego kolegi powiatowego przyszedł odwiedzić pacyenta.

— Mój mąż jest w tej chwili w ogrodzie — mówiła Talska — niech panowie będą łaskawi poczekać, zaraz poślę po niego.

— Niech się pani nie fatyguje — rzekł powiatowy — my sami pójdziemy do niego.

Po drodze mówił młodszy doktor do starszego:

— Gdyby można tą babę utłuc w móżdżierzu na proszek, to możeby lepiej pomogło choremu, aniżeli wszystkie nasze leki.

— Co też kolega wygaduje? — odparł powiatowy. — Kobieta spokojna, nie słyhać, żeby żyli ze sobą niezgodnie...

— A jednak nie wygląda ona bynajmniej na wcielenie słodyczy i tkiwości małżeńskiej.

Młody doktor obserwował niezgorzej, ale na to, aby pojął wszystko należycie, potrzeba byłoby lepszego, przenikliwszego niżli on obserwatora.

* * *

Uplętnęło kilka miesięcy. Młody doktor miejski pewnego dnia wyjechał do chorego obywatela w okolicy Płonnicza. Pacjent leżał w długotrwałej niemocy, a był przytem tak kapryśny i nieznosny, tak nie dawał otaczającym go spokoju ani we dnie, ani w nocy, że wszyscy w domu byli do ostatecznego stopnia pomęczeni i znużeni. Za ostatnią bytnością doktor radził wziąć jakąś płatną *garde-malade*.

— No, cóż? — zapytał na wstępie gospodyni domu — macie państwo *garde-malade*?

— Mamy — odrzekła gospodyni — ledwie znaleźliśmy ją w mieście. Jakaś przyzwolta kobieta, niedawno owdowiała, z lepszego widać domu... tylko, że wszystko robi niechętnie, jakby niewolnica pod przymusem.

Przy chorym doktor zastał kobietę w czarnej, żałobnej sukni, lat średnich, dość jeszcze przystojną, tylko z ostrym, niepociągającym wyrazem twarzy. Niesympatyczność owego oblicza podnosiła jeszcze jakiś rozlaną na niej cierpkość, nawet gniew... widocznie na swą dolę.

Doktor przymrużył oczy i przyglądał się kobiecie.

— Doprawdy — mówił — jeśli się nie mylę, to pani Talska.

— Tak jest, Talska — odrzekła kobieta w żalobie — nie spodziewałaś się pan spotkać mnie w takim poniżeniu. Mąż odumarał mnie bez żadnych środków do życia, nie wysłużywszy emerytury; choć nieboszyk zajmował się wszystkimi, nikt nie podał mi ręki, więc, żeby żyć, muszę zaprzędać się w niewolę.

Doktor uśmiechnął się złośliwie.

— Taki to już los człowieka — mówił szyderczo. — Póki mamy niewolnika, co na nas pracuje, żyjemy wolno i swobodnie... a gdy niewolnika braknie...

Gniewne, jadowite spojrzenie Talskiej powstrzymało język doktora.

Młody eskulap naigrawał się niebacznie nad istotą, która teraz niosła nader ciężkie brzemię. Ona, co miłowała nadewszystko spokój, wygodę, co troskliwie odsuwała swoje kłopoty i trwożliwie odwracała się od cudzych cierpień, dziś musiała dnie i noce spędzać przy łożu obojętnego jej, może nawet wstrętnego chorego i pod przymusem nielitośnej konieczności spełniać te uczynki miłosierdzia, które za lepszych swych czasów poczytywała za śmieszne, niedorzeczne zaprzęatanie sobie głowy. Zaiste, była to sroga kara za grzechy jej żywota, początek ciężkiej pokuty „za stracone swych bliźnich do zbawienia stopnie.“

MATKA GOETHEGO.

Nareszcie mają Niemcy literacki, życiorysowy portret pani *radczyni*, opracowany przez dra K. Heinemann (Lipsk). Sam poeta ułatwił wprowadzić tę pracę, wydał hasło, którego biograf trzymać się musi. Uczynił to w onym epigramacie: „po ojcu mam postawę, poważne prowadzenie życia, po matce pogodę umysłu (Frohnatur) i radość, jaką mi sprawia gawędzenie.“ Tradycja, liczne anegdoty przechowały obraz i szczegóły o znaczeniu matki i jej wpływie na syna, którego Niemcy za młodu za Appolina, a w starości za Jowisza uważali. Brakowało przecież całego portretu odтворzonego na właściwym tle rodziny, otoczenia i społeczeństwa. Ottokar Lenz skarżył się: „zdaje mi się czasem, jak gdyby historią w Niemczech pisali sami starzy kawalerowie, którzy nie mają dobrego pojęcia o znaczeniu kobiety i brakuje u tych autorów respektu dla matek w historii.“

Jedną łakę wypełnia teraz Heinemann w sposób zupełnie zadowalniający. Poznajemy teraz dokładnie ową bardzo niezwykłą kobietę, panią „radczynię, panią Aja.“ Była to sobie bardzo prosta, naturalna obywatelka miejska, — pielgrzymowali do niej poeci niemieccy, nie dla jej syna, ale dla niej samej. Ona koronowała poetów, a o kilka ulic dalej w Frankfurcie koronowali się cesarze niemieccy; panujący nazywali ją „kochaną matką.“ Wielki syn, to jest tylko niejako dalszy ciąg, rozwój, przeobrażenie jej samej, minister i uczonego to syn ojca, Niemca z północy; poeta to syn matki z południowych Niemiec, w ogóle wdał się w rodzinę matki; zupełnie jest i z oblicza podobny do babki po kądzieli. W rodzie zaś matki, u Textorów grała fantazja; dziadek po kądzieli słynął jako tłumacz mów i jako nadzwyczajny prorok. Przymiot ten odziedziczyła jedna z córek, a ciotka, która w śnie wskazała, gdzie się znajduje zagubiony testament proroka. A matka Goethego mówi: „jeżeli się w te rzeczy wierzy, to niepotrzeba przecież i gardzić niemi.“ Młody Goethe, ilekroć w niedzielę odwiedzał dom dziadka doznawał silnych wrażeń, które mu potem w życiu były „punktami oparcia,“ matkę zaś odwzorował w dramacie jako żonę Goetza, nawet nazwaną Elżbietą, przedstawił ją w poemacie Herman i Dorota, w którym zresztą cała niemal rodzina się odnajduje.

Gdy czytał pieśń czwartą Schillerowi i jego żonie, przy ustępach sławiących matkę, rozplakał zaś jak dziecko. Katarzyna Elżbieta urodziła się 19 Lutego 1731 r. jako córka dygnitarza miastowego, (Stadtshultheiss). Był to światek bardzo ciasny. Urosła w nim na kobietę nie tylko nie uczoną, ale właściwie mało edukowaną; po francuzku nie parlowała nawet, do końca życia nie uczyła się pisać ortograficznie, cytacje z dzieł syna wypisywała zawsze z okropnymi błędami. Mając lat 17 poślubiła „niewiele się namysławiając,“ według woli ojca starszego od niej o lat 20 radcę cesarskiego Jana Kaspiera Goethe. Mając lat 18 powiła syna, „niby umarłego, bez znaku życia,“ Wolfganga. Odtąd była już całe życie tylko matką i to matką dla męża, dla syna i dla przyjaciół syna. Mąż był nieco surowym, niewesołym, pracowitym pedantem; syn był jego przeciwnym biegunem; zadanie Elżbiety było bardzo trudne. Aż do powołania Wolfganga do Weimaru i potem nawet jeszcze jest życie jej ciągłą dyplomatyczną kampanią, żeby pokój i zgodę między ojcem a synem łączyć i utrzymywać. Ojciec nudził „obszernie,“ dla Wolfganga ułożył niemożliwy plan kariery prawniczej, poezji się sprzeciwiał, nawet gdy już syn zaczynał być sławnym, odmówił stanowczo pokrycia kosztów druku Goetza. Ale pani Aja swoją pogodą i wesołością wszelkie chmury rozprasza, „bo ufa Bogu i miłość jej jest niewyczerpaną w środkach.“ Ma ona pierwotną wrażliwość na wszystko, co piękne, ma niejako wrodzony instynkt, zapomocą którego rozpoznaje prawdę i istotę rzeczy. Pojęcie ma błyskawiczne, udziela myśli odrazu i rozpowiada, gawędzi „nieporównanie.“ Wszystko z czem się odezwie, żyje, nawet listy jej stają się często rozmową. Przymioty te przechodzą na syna, ona

rozbudza w nim wszystko, co w niej drga. Wspólną jest im namiętność dla teatru. Babka po każdej sprawiła Wolfgangowi pierwszą szopkę marynetek, na której on zaraz przedstawiał Dawida i Goliata. A obok poezji staje pismo święte. Pożożność pani radeziny polegała na niewzruszonej wierze w osobistą interwencję boską; skłonna była nawet na mistycyzmu, czem także różne struny umysłu syna potrafiła. Dla niej pozostała religia do końca życia krynicą pociechy; a w każdym zmartwieniu otwierała szpilką biblią i gdzie się otwierała szukała wyroczni. W ciężkiej chorobie syna wypadła jej przypowieść: „i będę znowu sadzić winnice na górach Samaryi, będę sadzić i grać przytem na piszczałkach.“ To ją pocieszyło i pewną już była, że zapowiedziano jej wielkość syna.

Gdy syn już został sławnym, przybywają zewsząd holdownicy: Lavater, Klopstock, Knebel przybywają z Weimaru do matki i inne znakomitości. Pani Aja ma ciągle literatów „na kwatery“, uważa ich za synów i córki. Piszono: „oprócz tych dwóch, których nosiłam pod sercem mam to szczęście, że posiadam licznych jeszcze synów i córek, jako to dwóch hrabiów Stolberg, Lavatera, Wielanda, Knebela, Kalba, demoiselle Fahlmer i innych. Dom jej nazywał Wieland *Casa santa*, gdzie około okrągłego stołu najlepsze duchy i serca zasiadały. Umiała się ona oryentować wśród zapaleńców epoki „Sturm und drang“; zbierali się oni u niej, choć to wiele niecierpliwiło imci pana radeziny. Jeżeli rozprawy stawały się zbyt burzliwe, „mordercze“, biegła do piwnicy i przynosiła im wino łojące: „oto macie prawdziwą krew tyranów, tą możecie się rozkoszować, ale wszelkie inne myśli mordercze precz z mego domu.“

Jeszcze pod koniec życia nazywała czerwone wino krwią tyranów. Całe życie trzymała z młodzieżą i walczyła razem z nią o prawo do życia. Zawsze musiała mieć młode towarzystwo, swoje „niedzielne dziewczęta“, „wszystko co żyje zewsząd do mnie się ściaga.“ Ale listy jej do Weimaru pisane, były głośno czytane i zdumiewały oryginalnością myślenia i wyrażenia się, więc też starano się zawsze usłyszeć jej sąd; Wieland posyłał jej najpierw wszystko, co pisał, prosząc o zdanie „w sposobie pani Aji“¹⁾. Syn w trudnych razach pisywał do niej: „niechcno to mama na swój sposób urobi.“ Jeden z uczestników przy jej okrągłym stole pisze: „wrażenia mego opisać nie jestem zdolny. Jakże od tego czasu drogą stała mi się ludzkość. Siedziała ona naprzeciw mnie jakoby panująca. Wśród najżywszej rozmowy nie uszło jej oka nic, co się w pokoju działo. Wśród potoku rozmowy rzuciła głębokie niekiedy spojrzenie na pana radeziny i dalej mówiła bez przerwy. Zdarzyło się, że służąca coś przeoczyła, sznups, potrafiła ją i dalej mówi. A ja siedziałem i poilem się tą rozmową.“

Przy pożegnaniu nie opuściła jej wesołość, śmiechała się, ale łzy spływały jej po policzkach, „o casa, o casa saenta“. Ona sama o wiele później pisze o sobie: „Mam ja wprawdzie tę łaskę od Boga, że jeszcze żadna dusza ludzka nie odeszła odemnie nie ukontentowaną, jakiegokolwiek byłaby stanu, płci i wieku. Ludzi bardzo kocham, więc stary i młody to czuje; idę ja przez świat bez pretensyi, a to się podoba synom i córkom tej ziemi; nie rozczarowuje nikogo, staram się zawsze dobrą stroną wyszpiegować, a złą zostawiam temu, który ludzi stworzył i który najlepiej umie wygładzać ostre kanty. Przy tej metodzie mam się dobrze, jestem szczęśliwą i zadowoloną“. Posyłając synowi pani Stein cieniową sylwetkę swojej pisze: wzrostu jestem dosyć dużego i dosyć korpulentną, mam oczy i włosy ciemne—i miałam odwagę grać matkę księcia Hamleta wcale nie źle. Wiele osób, a między nimi księżna Dessau utrzymują, że niepodobna jest niepoznać, że Goethe jest moim synem. Ja tam tego nie znajduję, ale coś w tem być musi, skoro to tak często powtarzają.“

Głównymi rysami mego charakteru są porządek i spokój; dlatego wszystko co trzeba zaraz od ręki robię, a najpierw co najmniej przyjemne,

i potykam dyabła nie przypatrując mu się długo—według mądrej rady kmotra Wielanda. A jak potem wszystko należycie już uporządkowane, gdy wszystko chropawę już wygładzone, wtedy idę w zakład z każdym, ktoby mnie chciał wyzwać na dobry humor. Pokrewną jej naturą była księżna—matka Anna Amalia Waimarska, wesoła, lubiąca zabawę, cheiwa nauki, muzykalna, ale przedewszystkiem szczera, naturalna. Od pani radeziny była o ośm lat młodszą, a od 19 roku życia była wdową. W 1788 r. w lecie przybyła do Frankfurtu, podobały się sobie nawzajem, księżna przechodziła codziennie do pani radeziny, wywiała się poufała przyjaźń, która się przejawiała w wieloletniej wymianie listów. Przybywały też podarunki z Weimaru, dla których nawet osobny, żółty pokój wyznaczono. W listach pisze księżna zawsze „droga matko“; „najdroższa, najlepsza, serdeczna“ pisze do niej dama dworska Goechhausen. Wieland pisze: „Nlekroć księżna otrzymała list od pani Aji, to nie mówi o tem inaczej, tylko jakby ją wielkie szczęście spotkało, niby owa niewiasta w ewangelii, która zwołuje sąsiadki, iżby się z nią cieszyły, gdyż grosz swój znalazła“. Towarzysz księżnej, Kammerherr v. Einsiedel pisze do Knebela: „Matka Goethego jest ponad wszelki opis znakomitą“ w czem odbija się oczywiście zapatrywanie księżnej. W owym czasie nalegano wielce na panią Aję, żeby się do Weimaru przeniosła, ale była ona wcielona mieszkanką frankfurcką i przemieszkała lat 46 w tym samym domu am Hirschgraben. Był też pan radea przez wiele lat chorym, niknął powoli, najpierw umysłowo, potem cielesnie. Często odwiedzał ją książę Karol August z Weimaru, a najpierw z Goethem w 1799 r. mieszkali obaj u niej pięć dni, a cały Frankfurt się radował. Przepyszny, dramatycznie ożywiony listem opisuje ona księżnej to zdarzenie. O radości swojej powiada: „Nie był to blask księżycy w skrzyni, ale prawdziwe z serca uczucie“. Wracając z podróży znowu obaj u niej 14 dni gościł; Karol August i potem ją odwiedzał, lub pisał do niej najserdeczniejsze listy, nieraz nawet prosił o pomoc w poufnych sprawach. Podczas koronacji cesarza Leopolda mieszkali u niej księżniczki meklemburskie, między niemi Luiza, przyszła słynna królowa pruska, zawarły „trwałą przyjaźń“; królowa zawsze po nią posłała ilekroć bawiła blisko Frankfurtu i zasypywała ją pamiątkami. W późniejszym wieku pisze starszka: mam się dobrze, Bogu dzięki, wcale dobrze jestem od tylu ludzi kochaną (lubo sama nie pojmuję z kąd to pochodzi) szanowaną, poszukiwaną, że często sama dla siebie jestem sobie zagadką, i niewiem co ludzie we mnie znajdują, dosyć na tem, że to tak jest, a ja zażywam tej dobroci ludzkiej z dziekczynieniem dla Boga i w zadowoleniu dnie moje mi płyną, zdaje się jakbyśmy słyszeli Gretchen: „nie wiem co on we mnie znajduje“.

Dla geniuszu syna miała pani radeziny od samego początku zupełne zrozumienie. Jej i siostrze powierzał on pierwsze plany, stała ona u kolebki Goetza i Werthera. Pojmowała ona i sercowe burze młodzieńca i starała się je uspakajać; musi on jej wtedy przyrzekać, że małej już więcej trapić nie będzie. Oczywiście żywi ona ulubiony plan, żeby go do domu przywizać i położyć koniec rozrzucaniu się geniusza. Obmyśla dla niego różne partye, lecz niebawem przychodzi do przekonania, że jego drogi wyżej wiodą. Do Weimaru przydaje ona do jego osoby pisarza, wiernego Filipa Seidel, który jej wszystko o nim, najdrobniejsze szczegóły donosi. Później przekazuje tę rolę Fritzowi v. Stein, który dla niej dziennik o życiu prowadzi. Każde powodzenie syna uszczęśliwia ją, stara się każdą zaczepkę, czy napaść usunąć, Goetza bierze w obronę przeciw całemu światu. Świadczy Bettina, że mała ona najdokładniej pisma syna; świadczy o tem i jej listy. Za teatrem zawsze przepadała; jeszcze była dzieckiem, gdy ją zachwycał Hamlet i oburzała się na filistrów, którzy się gorszyli sceną z grabarzami. Pisz w jednym liście: „a kiedy w Hamlecie, wśród burzy i porywów serca, przejęta na wskroś, głęboko wzruszona, powietrza i oddechu potrzebuję, to może ta lub owa, co przy mnie siedzi, gapić się na mnie... Otóż to silne, nie sfalszowane, natural-

ne uczucie chroni, dzięki Bogu za to, duszę moją od rdzy i zgnilizny“. Ulubionemi są jej sztuki klasyczne: Emilia Galotti, Hamlet, Clarrigo Ninna v. Barnhelm, Henryk IV, cały Schiller... ale ceni też Ifflanda i Kotzebuego. Professor, straszny krytyk Schreiber poświęca jej swoje dramaturgiczne pisma. Jakiegoś to musiała przecież doznawać wrażenia, gdy grano Goetza i w Elżbiecie siebie poznawała. Jeden krytyk pisał: „grano sztukę pod okiem matki dzieła“. Bettina wiele pisze o tem, co się to działo na takich przedstawieniach. Grano tylko dla niej, a jeżeli się zdarzyło, że widownia była pustą, ona z łoża do aktorów przemawiała, robiła uwagi, chwaliła, wołała: „proszę tylko dobrze grać; bo ja tu jestem“—to znaczyło więcej niż pełny teatr. Pisz Bettina: „...jest to wielkie; aż strach zbierał; pustka, cisza, pootwierane drzwi i jeden widz, matka, pełno uniesienia, jak gdyby syn był jej tron zbudował, na którym ona, ponad proch ziemski wzniesiona, przyjmuje hołd sztuki“. Żywo się interesowała dolą i niedolą aktorów; kosztowało ją to mnogie talary. Urządzała też wieczory deklamacyjne, teatru amatorskie, a przytem przepadała także za muzyką. Najmilej jej było, gdy sama przy fortepianie śpiewała pieśni syna z muzyką Reicharda, a śpiewała je z orywiącem uczuciem...

Jako starszka coraz więcej była osamotniona. Pan radea umiera, ona się przeprowadza po dwuletniem poszukiwaniu mieszkanka. Z owych „synów“ jej wielu umiera. Najdroższą staje się jej kochanka, potem żona syna Chrystyna Vulpius. Zrazu nie smakowało jej to „małżeństwo sumienia“, ale w końcu nie może ona niekochać, kogo jej syn kocha. Zrazu nazywa ona ją „demoiselle Vulpius“, „towarzyszką syna“, potem „lubą przyjaciółką“, aż nareszcie „ukochaną córką“. Pani radeziny zostaje babką, potem prababką, i wtedy przestaje najwięcej z Bettiną v. Arnim, gdyż równo z nią duetem się zachwycała. Przybywają do niej jeszcze i teraz czasem wiele, jak Humboldt, pani Staël; prymas Dalber daje jej i synowi świętną ucztę.

Umarła 13 września 1808 r., pełna aż do końca dobrego humoru Schlosser pisze: Spokojnym i wielkim jak było jej życie, był jej łagodny, bezbolesny zgon. Goete opowiadał potem, że zapowiedziała ona naprzód swoją śmierć, rozporządziła najściślej pogrzebem, tak, że oznaczyła nawet gatunek wina i wielkość precli. Jacobi dodaje, że przykazała służebnym, żeby nie szczędziły roźdzynków do stypowego kołacza, gdyż tego całe życie cierpieć nie mogła, w dzień śmierci otrzymała zaproszenie; kazała odpowiedzieć, że przepartza, bo już tymczasem umrzeć musi.

Była to kobieta powszechnie czczona, matka najszczęśliwsza; każda niewiasta może być z niej dumna. Życiorys jej należyście przystosowany byłby księgą u nas bardzo pożądaną.

Alfr. S.

Z bieżącej chwili.

— Pierwszy w Rosyi prywatny gabinet bakteriologiczny zostanie wkrótce urządzony w okolicach Petersburga.

— Dzienniki petersburskie donoszą o nowem prawie dla rybołówstwa, które ma być wkrótce wprowadzonym.

— Spożywcze Stowarzyszenie „Merkury“ otworzyło nowy sklep w pobliżu wiedeńskiej stacyi towarowej a to z uwagi, że wskutek wielu istniejących w tej stronie miasta fabryk, ludność robotnicza sklepu takiego potrzebuje. Towarzystwo pragnęło przecież, aby zarządy wspomnianych fabryk zapewniły robotnikom swoim kredyt otwarty, na co zgodziła się najpierw fabryka Handtkiego i sklep został otwarty przy zbiegu ulic: Twardej, Srebrnej i Miedzianej w obszernym i wygodnym lokalu. Książd Chelmiecki dokonał poświęcenia w obecności członków zarządu.

¹⁾ Zkąd właściwie pochodzi nazwa Aja, dotąd niewiadomo.

— Obok szpitalika dla dzieci fundacyi ś. p. hr. Potockiej ma być wzniesiony dom dla dzieci dotkniętych chorobami zaraźliwymi, jak ospa, szkarlatyna i tem podobne. Na budowę domu złożyła 15,000 rs. osoba, która nie życzy sobie aby nazwisko jej ogłoszonym było.

— W trzydziestą trzecią rocznicę zgonu Zygmunta Krasińskiego, w d. 23 lutego, odbyło się uroczyste nabożeństwo żałobne za duszę ś. p. Zygmunta Krasińskiego.

— W posiadaniu Münheimera znajdują się trzy libretta posiadane niegdyś przez Moniuszkę: „Wandy“ napisane w 1859 r. przez br. G. Olizara, „Jordana“ utwór nieznanego autora z tegoż czasu; „Budnik“ Ant. Zaleskiego z powieści Kraszewskiego. Złożyła je w ręce tego kompozytora wdowa po Moniuszce, wraz z muzyką pierwszego aktu opery „Parya“, której ciąg dalszy nie istnieje.

— Koncert sympatycznego kompozytora naszego, Wład. Żeleńskiego, który przybył świeżo do Warszawy, odbędzie się d. 5 Marca w sali Wielkiego Teatru, wieczorem, składać on się będzie z wyjątków solowych, chóranych i orkiestralnych nowej, a publiczności naszego miasta nieznanej wcale opery tego mistrza „Goplana.“

— Dwa obrazy Chełmońskiego: „Ranna Mgła“ i „Jezioro“, zostały nabyte za cenę względnie do stosunków naszych wysoką.

— Andriolli, który od lat sześciu pracuje nad illustrowaniem poematów Mickiewicza i którego prace z tego zakresu: sceny z Pana Tadeusza, Walenrodo, z ballady o Twardowskim, są już znane publiczności naszego miasta, wykończy ostatni karton z cyklu tego tematu: „Zkąd Litwini wracają, z noceją wracają wycieczki...“ Na tle zimowego krajobrazu leśnego ciągną hufce, obładowane zdobyczą uwieczoną z wyprawy na Niemców. Stary las dębowy służy tu za tło dla bogatej w liczne postacie sceny. Kiejstut, Halban, Alf widnieją na planie pierwszym, obraz mieści przecie więcej niż sto postaci: wojowników, kapłanów (burtanikasów), jeńców krzyżackich, a wszystko to, poczynając od krajobrazu litewskiego lasu w porze zimowej, studyowane jest z natury. Wzoru uzbrojeń dostarczyły mistrzowi zbiory archeologiczne; ludzie malowani są wedle szkiców wykonanych nad Niemnem i razem jest to rzecz wspaniała, której artysta dokonał pracowicie, z zamiłowaniem, jakie daje jedynie wyższe ukochanie sztuki. Pracował on nad dziełem swoim w cichości wiejskiej posiadłości swojej, w Brzegach. Ostatecznie przecie wykończyć on będzie obraz w Warszawie, w pracowni swojej przy ulicy Oboźnej.

— Wysła świeżo z druku nakładem Gebethnera i Wolffa książka szczególnie zajmująca matki i nauczycielki: *Nauka o rzeczach* przez J. Wł. Dawida, redaktora „Przeglądu Pedagogicznego.“ Poświęconą ona została uczennicom autora, bo też jako rzecz, traktująca o pierwszym umysłowym kształceniu dziecka, jest ona z natury swojej przeznaczona na czytanie kobiety, tak matki jak nauczycielki. Do ważniejszych części książki należy rzecz: „psychologiczne podstawy nauki.“ Autor pragnie, aby zapomocą nauki pogładowej dziecko nauczyło się „patrzeć samodzielnie i samodzielnie myśleć na podstawie tego, co widział.“ Dziecko powinno być przez wychowanie pierwsze przygotowane do nauki, aby w tych latach następnych, w których ją dostawać będzie, umiało już zastanawiać się i myśleć, czyli posiadać już pewne rozwinięcie umysłu. Traktuje się tu przedmiot tego nauczania pierwszego obszernie, książka stanowi też gruby tom w ósemce, jednak należy to do obojętności matek, zwłaszcza młodych, aby się nie lękały nigdy pracy, gdy rzecz wkracza w dziedzinę wychowania. Pismo nasze zda obszerniejsze

sprawozdanie o tej ważnej w zakresie swoim książce.

— „Moje konkury“, wyjątek z „Pamiętnika“ przez Ksawerego Aleksotę, książeczka nieduża, wydana nakładem Teodora Paprockiego, zawiera na wstępie wyznanie autora, że była ona kreślona pod wpływem uczucia, które kazało mu uważać uczucia tego przedmiot za „ideał doskonałości“ a następnie tłumaczy się czytelnikowi, iż znajdują się w piśmiennictwie książki zasługujące na większe jeszcze politowanie.

— Rocznik Towarzystwa Ogrodniczego za rok 1891 mieści sprawozdanie z czynności Towarzystwa, świadczące o Towarzystwa tego żywotności i energii, która jedna mu szacunek. Co raz obrane przez nas zostało za przedmiot zajęcia, ma prawo zajęcia tego rzeczywiście od nas wymagać pod karą winy niedbałości, której niestety dopuszczamy się nieraz w zakresie podobnym. Towarzystwo liczy 479 członków, z pośród których przybyło w roku sprawozdawczym 43, wykreśliło się 28. Dochody wynosiły 5,321 rs., wydatki 6,285 rs. zatem wykazał się deficyt 964 rs., co przecie nie jest żadną winą Towarzystwa, ale następstwem koniecznym niedostatecznej liczby członków. Zajęcie się ogrodem, gospodarstwem owocowym jest taką ważną i korzystną gałęzią gospodarstwa kobiecego, że zarzut ten spada tu na kobietę, która interesu swego rozumnie nie umie w czasach tak trudnych przecie, że zrozumieć go powinna.

— Na konkurs krakowskiego Towarzystwa sztuk pięknych, rozpisany na plan restauracji starożytnego kościółka Ś-tej Barbary, nadesłano plan jeden tylko i to nieodpowiadający zupełnie zadaniu. Konkurs na projekt kurtyny do nowego teatru dopuszcza tu udział malarzy bez względu na ich zamieszkanie. Zostawioną tu jest również zupełna swoboda w wyborze tematu. Projekt powinien jedynie być wykonany farbami olejnymi, i przedstawiać szkic $\frac{1}{100}$ części naturalnej obszerności kurtyny, zatem mieć 115 centymetrów szerokości, a 95 centymetrów wysokości. Szkice powinny być złożone przed dniem 1 kwietnia b. r., przed godziną 12-tą w południe, z dołączeniem zapieczętowanej koperty, zawierającej nazwisko autora i miejsce jego zamieszkania. Nagroda jest tu wyznaczona jedna tylko, w kwocie 300 zł. reń. a to za szkic, który komisyja konkursowa uzna za najodpowiedniejszy do wykonania. Gmina miasta zastrzega sobie prawo wykonania kurtyny według nagrodzonego szkicu; przysądzenie nagrody nastąpi najpóźniej w dni czternaście po terminie złożenia szkiców, z których nagrodzoay stanie się jedynie własnością miasta.

— Wydział lekarski uniwersytetu krakowskiego, postanowił wnieść do ministerium oświaty petycję, żądającą nstanowienia ze skarbu państwa trzech stypendyów po 1,200 zł. reń., dla młodych lekarzy, pragnących kształcić się w przedmiotach wyłącznie teoretycznych.

— Plany uregulowania Wisły pod Krakowem już są gotowe, z kolei ma być podniesiona kwestya urządzenia na lewym brzegu rzeki, to jest od strony miasta bulwarów nadbrzeżnych.

— Sejm otwarty we Lwowie w d. 3 marca otrzymał od wydziału krajowego między innemi, do zatwierdzenia organizacyą policyi ogniowej we wszystkich miastach i miasteczkach, projekt przyznania prawa wyborczego wykwalifikowanym technikom we Lwowie i Krakowie, wniosek udzielania corocznego kredytu w summie 30,000 zł. reń., na podniesienie hodowli bydła, oraz kredytu na urządzenie nowej szkoły agronomicznej pod Strzemem, także szkoły dramatycznej przy konserwatorium lwowskim. Rząd ma wnieść przed sejm jedynie ustawę łowiecką. Przy uniwersytecie lwowskim ma powstać nowy wydział lekarski.

Pierwsza Szkoła Koronkarstwa

NAUKA BEZPŁATNA

Zapis odbywa się w Poniedziałki i Środy od godziny 12 do 1 z południa. Desenie i przybory do wyrobu koronek nabyć można w Szkole Krakowskiej-Przedmieście Nr 42, mieszkania 4.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 5-ty powieści pod tytułem: **Omyłka**, przez R. Norrisa. Przekład z angielskiego.

OD WYDAWCY.

Nowi prenumeratorowie otrzymać mogą bezpłatnie na żądanie początek Studium pod tytułem:

Kobieta w XX wieku,

które roku bieżącym w Bluszczu ukończonem zostało;—oraz początek powieści drukującej się w Dodatku p. t. **OMYŁKA**, przez R. Norrisa.

TREŚĆ: Kobiety irlandzkie. — O wróć!... przez Selima (wiersz). — Praca kobieca na wystawie w Chicago, przez M. I. — Hajota. Nad przepaściami (wrażenia z gór Afrykańskich) (dalszy ciąg). — Niewolnica powieść, przez Bronisława Grabowskiego (dokończenie). — Matka Goethego. — Z bieżącej chwili. — Ogłoszenie.

Dodatek obejmuje: Arkusz 5-ty powieści, pod tytułem: **Omyłka** przez R. Norrisa. Przełożona z angielskiego. — Przegląd mód. 27 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.



Nr 4. Płaszcz wiosenny dla panienki od 15 — 17 lat (do ryc. Nr 3). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr X, fig. 46—52.

Worek na bieliznę. (Ścieg krzyżowy, płaski, Holbeina i robota szydełkowa).

Rycina Nr 19, 16, 18 i 20 w Bl. Nr 8.

Worek 38 centim. wysok. a 44 centim. szerok., wykonany na tkaninie „kongres” koloru żółtawego, łączonej za pomocą wstawek, wykonanych szydełkiem i zaopatrzony podszewką z atłasu w odpowiednim kolorze. Środkowy ukośny pas 11½ centim. szer., wykonany podług ryc. Nr 16 z napisem „Lingerie,” oraz otaczający szlaczek w odstępie czterech nitek tkaniny podług ryc. Nr 20 wykonać dwoma cieniami przedzy błyszczącej koloru niebieskiego i białą bawełną ściegiem krzyżowym, płaskim i Holbeina. Figury narożne ryciny Nr 18 wykonać tak samo ściegiem krzyżowym i płaskim. Górny brzeg worka otoczyć riaszą z wstążki niebieskiej atłasowej 2½ centimetra szerokości. Do zamykania służą pentelki wykonane ze wstążki i nikłowe pręciki. Kokardy wykończają całość podług ryciny. Co do wstawki wykonanej szydełkiem, krętą bawełną rozpocząć na założeniu 58 oczek tam i napowrót. — 1 kolej: 6 oczek opuścić, 4 słupki w następne 4 oczka, 6 razy naprzemian: 2 powietrzne oczka, 1 słupek w 3 z rzędu oczko, potem 9 słupków w następne 9 oczek; 6 razy naprzemian: 2 powietrzne oczka, 1 słupek w 3 z rzędu oczko, poczem 3 słupki w następne 3 oczka. —

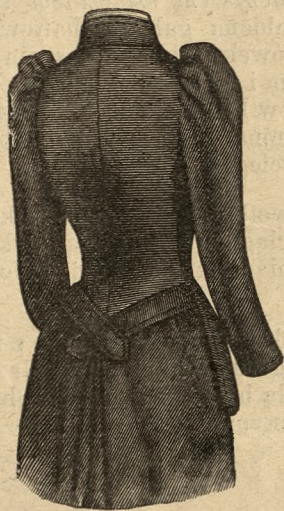


Nr 3. Przednia część płaszczyka wiosennego Nr 4.

2 kolej: 4 ścis. łańc. oczka w następne 4 oczka, 3 powietrzne oczka, 3 słupki w następne 3 oczka, 5 razy naprzemian: 2 powietrzne oczka, 1 słupek w następny słup, potem 3 słup. w następne 3 oczka, 2 pow. ocz., 1 słup. w 3 z rzędu oczko, 2 powietrzne oczka, 2 oczka opuścić, 13 słupków w następne 13 ocz., 3 razy naprzemian: 2 pow. o., 1 słup. w 3 z rzędu ocz., potem 3 słup. w następ. 3 ocz., 3 pow. ocz., 1 słup. podwójny w to samo ocz., w którym przerobiono poprzedni słup. — 3 kolej: 6 pow. ocz., podwój. słup. opuścić, 4 słup. w następ. 4 ocz., 4 razy naprzemian: 2 pow. ocz., 1 słup. w 3 z rzędu ocz., potem 3 słup. w następ. 3 ocz., 2 pow. ocz., 1 słup. w 3 z rzędu ocz., 2 pow. ocz., 2 ocz. opuścić, 4 słup. w następne 4 ocz., od 1 jeszcze raz powtórzyć, potem 4 razy naprzemian: 2 pow. ocz., 1 słup. w następny słup., potem 3 słup. w następne 3 ocz. — 4 kolej: 4 ścis. łańc. ocz. w następne 4 ocz., 3 pow. ocz., 3 słup. w następne 3 ocz., 3 razy naprzemian: 2 pow. ocz., 1 słup. w następ. słup., potem 12 słup. w następne 12 ocz., 2 pow.



Nr 1 i 2. Fartuszek dla panienki od 2—3 lat. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 53—56).



Nr 5. Tylna część sukni do ryc. Nr 7.



Nr 6. Suknia z kaszmiru ozdobiona haftem maszynowym (do ryc. Nr 8). Opis odwrotna strona tablicy.

Nr 7. Suknia z szewiotu ozdobiona szlaczkiem haftowanym (do ryc. Nr 5). Krój, deseń i opis pierw. str. tablicy Nr I, fig. 1—12.

A detailed black and white engraving of a woman's back and shoulders. She is wearing a high, ruffled collar and a long, flowing skirt. The back of the bodice is decorated with intricate floral or lace patterns. The sleeves are long and appear to have ruffles or lace at the cuffs. The overall style is characteristic of 19th-century fashion.

An illustration of three pieces of fabric, possibly undergarments or linens, featuring different lace trims. The top piece is a rectangular item with a wide, decorative lace border along its bottom edge. The bottom-left piece is a triangular or trapezoidal item with a wide, scalloped lace border. The bottom-right piece is a square item, folded into four quadrants, with a wide lace border and small floral motifs in each quadrant. The entire illustration is rendered in a detailed, engraved style.

A detailed black and white engraving of a woman in a long, flowing white dress and a matching long cape or veil. She is standing outdoors, holding a small object in her hands. The dress features a high collar, a fitted bodice with a decorative belt, and a full skirt with a ruffled hem. The cape has a wide, draped collar and a long, flowing tail. The background is dark and textured.

A detailed black and white engraving of a woman in a late 19th-century mourning dress. She wears a long, flowing black gown with a high collar and a wide, lace-trimmed capelet. Her hair is covered by a black veil adorned with a floral headpiece. She holds a small cross in her right hand. To her right is a table with a vase of flowers and a book. The background is simple, with a small signature 'H.C.' in the bottom left corner.

A detailed illustration of the back of a woman wearing a dark, high-collared dress. The dress features long, puffed sleeves and a decorative belt with a large buckle. The fabric appears to have a subtle texture or pattern.

An illustration of two pieces of knitted fabric, possibly socks or stockings, laid out on a light-colored, textured surface. The piece on the left is folded, showing a cuff with a ribbed texture and a heel patch with a wavy, horizontal pattern. The piece on the right is laid flat, displaying a complex geometric pattern of interlocking diamonds and zig-zags. Both pieces have a ribbed cuff at the top.

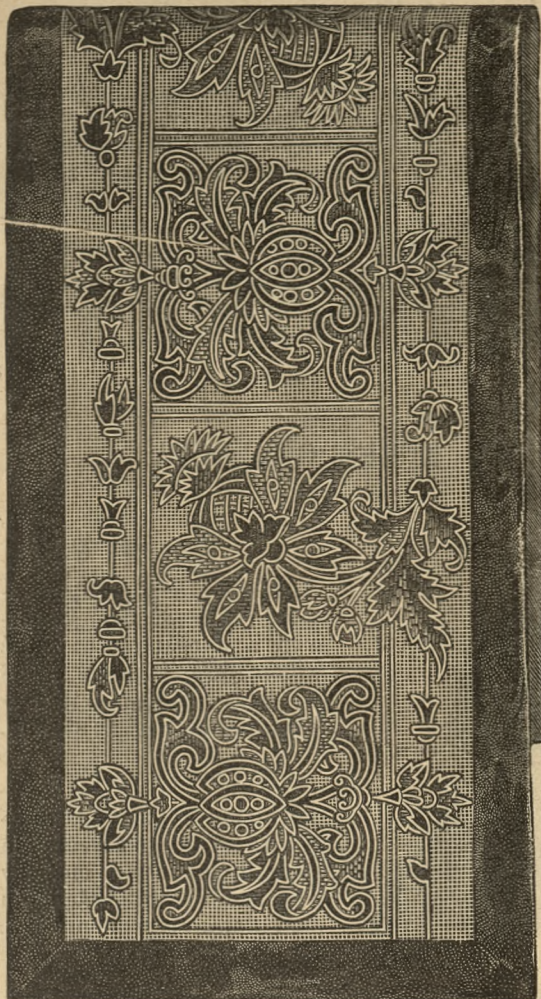
komunii.

A black and white illustration of two women in late 19th-century attire. The woman on the left is seated in an ornate chair, wearing a dark, patterned dress with a large bow at the waist. She is holding a small book or card. The woman on the right stands next to her, wearing a dark, high-necked dress with a ruffled collar and a decorative headpiece. They are in a room with a large vase on the left and a window with a flower arrangement on the right.

Nr 21. Suknia krojem „princesse.”
(Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 19—22).



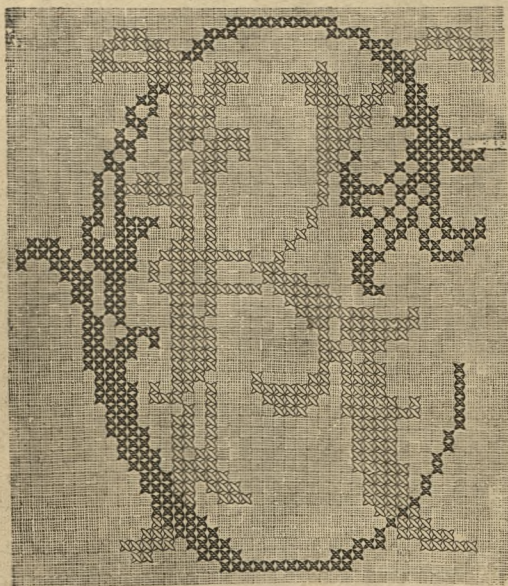
Nr 19. Suknia z kaszmiru
(do ryc. Nr 9). Opis odwr. str. tabl.



Nr 25. Serwetka podłużna na otomanę lub stół (haft płaski) do ryc. Nr 27. (Deseń odwr. strona tablicy Nr XII, fig. 57).

U w a g a.

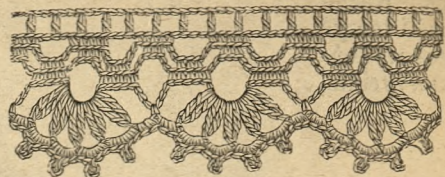
Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru *Bluszczu*.



Nr 26. Monogram (ścieg krzyżowy).



Nr 24. Monogram.



Nr 22. Koronka wykonana szydełkiem.



Nr 23. Szlaczek do ozdoby bielizny (haft biały).



Nr 27. Figura do serwetki podłużnej Nr 25 (wielkość oryginalna).

GOSPODARSTWO MIEJSKIE I WIEJSKIE.

Pogawędka gospodarcza.

Projekt założenia przez panią Hubową praktycznych kursów gospodarstwa dla panien w Starej-Wsi pod Warszawą. — Gospodarstwo produkcyjne. — Działy, któremi trzeba się zająć na wiosnę. — Jedwabnictwo. — Rybołówstwo. — Włosy końskie.

Z wielką przyjemnością przychodzi mi donieść dalszym czytelnikom moim, iż pani Hube, obywatelka, zamieszkała w Starej-Wsi pod Warszawą, idąc za radą moją, i widząc sama wielkie dobro, jakie z tego wyniknie, otwiera u siebie „kursa praktyczne dla kobiet.“ Tyleśmy już o tem pisali i tyle rad praktycznych w tym względzie udzielili, że nie chcąc powtarzać, ośmielię się tylko zwrócić uwagę pani H., która bezsprzecznie, równie dobrze to rozumie jak ja, iż kurs półroczny jest za krótki, a to dla tego, iż każda pora roku wymaga i nadaje się tylko do pewnej części gospodarstwa kobiecego, cały więc kurs wymaga co najmniej i to koniecznie dziewięciu miesięcy, z których każdy prawie a przynajmniej po kilka należy przeznaczyć na pewien dział. I tak: kurs zaczynać się powinien od pierwszych dni marca, jako początku wysiadzania drobiu, dalej w maju zaczyna się mleczyno, które trwa maj i czerwiec, a następnie wrzesień i październik — zimowe masło i sery, lipiec, sierpień i wrzesień — ogród, warzywo, wina owocowe, konserwy, konfitury, pasieka, las, apteka i t. p., październik, listopad do połowy grudnia karmienie drobiu, trzoda, wypasanie i zabicie wieprzy, przygotowanie słoniny, szynki, wędlin, chleba, ciasta i t. p. Słowem, zaledwie od połowy grudnia do końca lutego mogą uczennice mieć czas wolny w ciągu całego roku, dziś bowiem zimowa praca około przedzenia lnu i tkanina płótna zaniechana została z powodu dostarczających je taniej fabryk. Wogóle jednak od 1 marca prawie do samego Bożego Narodzenia, cała praca gospodarcza tak jest połączona i tyle każdej chwili daje przedmiotów do poznania i nauczania się, iż uważam, że zaledwie karnawał zostaje dla młodych panien, chcących się prawdziwie czegoś nauczyć do odpoczynku i zabawy. Co do opłaty oznaczonej uważam ją za zbyt niską, gdyż ja za trzymiesięczny kurs kulinarny dwa razy tygodniowo pobierałam rs. 50, a i to tylko jesienią uważałam za całkowity, wiosna bowiem nie daje wszystkich potrzebnych do nauki produktów. Temwięcej, iż pani H. musi dawać i utrzymanie, a będą te zapewne panie przyzwyczajone do wygod. Inaczej rzecz się ma dla tych, co pragną się kształcić na gospodynie płatne, te naturalnie większej opłaty płacić by nie mogły, ale za to dadzą pracę produkcyjną w zakresie gospodarstwa (patrz praktyczny sposób urządzenia szkoły gospodyń „Koleśa 1873 r.“).

Z wiosną przychodzi mi na myśl jedna z najprzyjemniejszych a wiele korzyści przynosząca produkcyjna praca kobieca, mówię tu o jedwa-

bnictwie, a pomimo, iż już lat zeszłych pisałam i namawiałam panie, posiadające ogrody, niekoniecznie na wsi mieszkające, o zajęcie się tą przemysłową pracą, dziś znowu powtarzam namowę moją, a to z powodu, iż przeszło rok istnienia na nowo wskrzeszonej spółki jedwabniczej przekonało wszystkich, iż hodowla jedwabników w kraju naszym ma dostateczną rękojmię być z korzyścią prowadzoną: klimat nasz najzupełniej odpowiada uprawie morwy, która wytrzymuje surowość naszej zimy, a liść i owoc daje taki sam jak na południu. Najtańszy sposób wychowania drzew morwowych jest z nasienia. Należy je zbierać z drzew zupełnie zdrowych, wielkie liście wydających, niezbyt starych i niezbyt młodych; nasienie zbierać należy wtedy, gdy owoc sam z drzewa spada, bo wtedy dopiero jest dojrzałe. Aby nasienie oddzielić od wierzchniej błonki, trzeba jagody trzymać 4 dni w ciepłym miejscu, gdy zmiękną zgnieść je rękoma i wycisnąć sok przez rzadkie płótno, a gąszcz wypłukać w rzadkiem sicie, wstawionem w wanienkę z zimną wodą, przez to sito bowiem ziarenka powinny wpadać w wodę. Tylko te, co upadną na dno wanienki są dobre i te, precedziwszy przez gęste sito suszy się w cieniu na powietrzu, w żadnym razie, bezwarunkowo nie na słońcu albo w piecu, bo stracą zdolność kiełkowania. Chcąc następnie przyspieszyć kiełkowanie, należy moczyć nasienie 48 godzin w wodzie, wsypawszy w kwartę wody 2 łuty saletry, lub 4 łuty soli, co zupełnie odpowiada jedno drugiemu i wywierają jednakowy skutek. Takie nasiona kiełkują w 10 dni, łut nasienia zawiera 6000 ziarenek a choć nasienie zachowuje siłę kiełkowania 3 lata, jednak czem świeższe, tem lepsze.

To pierwsza połowa zadania. Ażeby jednak hodowla jedwabników krajowi i hodowcom przynosiła korzyść, potrzeba koniecznie, aby istniały w kraju rozwijalnie jedwabników, gdyż jedna istniejąca w Sielcach pod Warszawą, znanego specjalisty p. Adolfa Boguckiego, nie może nastarczyć wszystkim żądaniom, a jeżeli towarzystwo jedwabnicze zmuszone będzie zbywać zagranicznym rozwijalniom lub fabrykom nabywane przez siebie kokony, największa korzyść zostanie straconą i nigdy u nas nie mogą się rozwinąć fabryki jedwabiu. Zależy więc bardzo na tem, aby uczestnicy towarzystwa jedwabniczego a nawet i osoby nie mające udziału, członkowie muzeum przemysłu i handlu, zrozumiałwszy położenie rzeczy, zapisywali się na członków, iżby tą drogą zebrali potrzebny kapitał do urządzenia własnej rozwijalni, wtedy dopiero gdy zaczniemy rozmotać z kokonów jedwab zużywać na własną potrzebę, powiedziec będziemy mogli, iż jedwabnictwo kiełkuje u nas, i wtedy zamiast wędny śmiało ją zastępować będziemy w lecie własnym jedwabiem. Nie zwlekajmy więc i wszelkimi możliwymi środkami dopomagajmy do osiągnięcia tego upragnionego celu. W dalszym ciągu przypominamy gosposiom, żeby dały popęd inicjatywą zarybiania na wiosnę stawów i sadzawek, drogość ryb u nas szczególnie w lecie, gdzie funt żywej ryby płaci się od 30 do 40 kop. a z funta zaledwie są 3 kawałki i to nie duże,

w czasie mrozów dowóz jest wielki, co obniża cenę ryb; ten tak pożywny i smaczny pokarm powinien zatem zwrócić na siebie uwagę tak panów gospodarzy, jak i pań naszych, które o dobro kraju dbają. Nestorem rybołówstwa u nas jest pan Adam Przanowski, mieszkający w gubernii lubelskiej we wsi „Sucha“, tam więc interesowani zgłosić się mogą o bliższe wskazówki, co do tej ważnej produkcji naszego gospodarstwa, a uprzejmy właściciel nikomu nie poskąpi rad swoich.

Ponieważ pogawędka nasza dzisiejsza ma głównie wszelkie gałęzie gospodarstwa produkcyjnego na celu, więc jeszcze słówko w tym kierunku. Chcę mówić o włosie końskim tak poszukiwanym i tak drogo płaconym, a tapicerzy nasi zastępują w braku włosia, czyli poprostu dla taniości, włos koński, trawą morską, która ugniatą się bardzo szybko i nie ma żadnego porównania z włosiem. Otóż konie, tak robocze jak eugowe, co w tym razie nie robi różnicy, gubią grzywy i ogony dwa razy do roku: na wiosnę i na jesieni. Trzeba więc pilnować, aby tego niedopuszczyć, lecz starannie wyczesywać i obcinać o ile można najstaramiej, gdyż każdy, choćby najkrótszy, ma swą wartość, bowiem pud włosia płaci się do 12 rubli. Oprócz do wyściełania mebli i napychania materacy, włos koński ma zastosowanie do rozmaitych tkanin, na sita i tym podobnie a nawet w niektórych krajach wyrabiają z niego liny okrętowe, mające pierwszeństwo przed konopniami.

Na zakończenie dzielę się z czytelnikami doświadczeniem zrobionem w tych czasach. Zajmując się sama przyrządzaniem wódek i likierów, które robiąc podług moich „Jedynych praktycznych przepisów“ mówię szczerze, bez zarozumiałości, tylko z francuzkami mogą konkurować a o jedną czwartą są tańsze: wydarzył mi się wypadek, że zamiast spirytusu alkoholu 94% próby, użyłam jakiegoś pośledniego, który bezwiednie był mi pod ręką i naturalnie tak wódkę jak likier zepsułam. Odór okowity Nr 2 dał się tak mocno czuć, że wódka była niemożliwą w użyciu. Otóż zrobiłam próbę i wlaawszy jakąś część w rondelkę zagotowałam na ogniu a po pięciominutowem najwyżej gotowaniu wszelki odór znikł. Wprawdzie tak wódka jak likier zrobiły się nieco słabsze, ale zupełnie dobre w użyciu, tak, iż dolaawszy trochę mocnego alkoholu, nie nie pozostawało do życzenia. Podaję to jako radę szczególnie dla osób, które nie mają na prowincyi dobrego spirytusu.

Wobec panujących chorób, a konieczności używania kąpeli, które zawsze w domu pewną trudność i kłopot przedstawiają, przypominamy o praktycznym zakładzie rozsyłania kąpeli gorących do domu na oznaczoną godzinę. Zakład mieści się przy ulicy Książęcej Nr 4, a z doświadczenia wiem, jakim komfortem, elegancją i niebywałą czystością przysyłana wanna i wszelkie przybory aż do ogrzewacza miedzianego z ciepłym prześcieradłem się odznaczają. Taniość zaś 75 kop. za kąpiel w ambonamencie powinna nas stanowczo do nich przyzwyczaić.

Na liczne pytania ciągle mi czynione, gdzie można dostać owo najlepsze stanowczo dziś ma-

sło centryfugalne marki „Dłużewo i Sufczyńska Wola,” podaje interesowanym firmy, gdzie się na składzie znajduje:

- 1) Wilkaniec, Plac S-go Aleksandra Nr 9.
- 2) Polakow, Senatorska Nr 29.
- 3) Zakład mleczny, Marszałkowska Nr 146.
- 4) Kowalska, Ś-to-Krzyżka Nr 26.

Lucyna Cwierzakiewicz.

Wiosenne przypomnienia dla młodych gospodyń o hodowli drobiu.

Z nadejściem pory znoszenia i wylęgania jaj należy pilną zwracać uwagę na odpowiedni wybór sztuk drobiu przeznaczonych do rozmnażania. Wybierać dwuletnie kury do rozrodu, gdyż takowe znoszą największe i najpewniejsze jaja, a głównie takie, co się najwcześniej nieść zaczynają. Wybrawszy takie kury, należy je z odpowiednią ilością dwuletnich lub trzyletnich kogutów w osobnym ogrodzeniu w kurniku umieścić, nie dając tam przystępu innym kurom lub kogutom. Jeżeli można, to jest jeżeli jest miejsce ku temu, to obok kurników urządzić oddzielne ogródki, gdzieby każde stadko, złożone z trzech do pięciu kur i jednego koguta, mogło być oddzielone, gdzie jednak nie ma na to miejsca, tylko muszą być razem trzymane w kurniku, to zważyć należy, aby im nie było ciasno i aby utrzymana była jak największa czystość, oraz zapewniona była wszelka wygoda. Wtedy liczyć można z pewnością na pewne jaja i rozwój rozplodowego gospodarstwa. Jaja, noszone przez pierwsze dziesięć dni po odłączeniu z ogólnego stada rasowych kur i kogutów przeznaczonych na rozplodnienie nie są jeszcze pewne, gdyż tak długo trwa wpływ na znoszone jaja, nie można więc być pewnym, czy nie pochodzą ze skrzyżowania z kogutem pospolitym. Dopiero więc po 10 dniach należy zbierać i przechowywać jaja do wysiadywania znoszone, które kilka razy na dzień z gniazd wybierać, aby jak najmniej były wystawione na wpływ zimnego powietrza, bo często jeszcze w marcu bywają mrozy. Zbierane jaja trzeba przechować w miejscu suchym i koniecznie ciemnym w temperaturze od 6 do 10 stopni Reaumura, kładąc je w pudło na bok, tak jak leżały w gnieździe, albo w deskę dziurkowaną szerszym końcem na dół włożone. Gdy się zbierze już potrzebna ilość jaj do wysiadywania i ma się kwoki wydające kwakaniem chęć do siedzenia, trzeba wybrać co największe jaja i prawidłowo uformowane. Mylnie jest przypuszczenie wielu wiejskich kobiet, jakoby spiczaste jaja wydawały kogutki a równe z obu stron kokoszki. Wszystkie kury, jakiegokolwiek gatunków, znoszą zwykle połowę takich a połowę takich jaj. Nie stosuję tu rad do wylęgarni sztucznych, bo pomimo iż pan Płotnicki, lat temu 12 czy nawet więcej, przedstawił w Warszawie swojego wynalazku wylęgarnię, ogrzewaną za pomocą lamp naftowych, jednak nie sądzę a przynajmniej nie wiem na pewno, czy się w kraju naszym upowszechniły, w jakiej okolicy, jak to ma miejsce w kilku miejscowościach w Cesarstwie. My zawsze jesteśmy za prawami natury i tylko o tyle tu na zmianę przystajemy, iż zamiast kur dość rzadko prawdziwie chętnych do wysiadywania, radziemy wylęgowe jaja podkładać indyczkom, które z usposobienia są bardzo skłonne do wysiadywania, i więcej pokryć mogą pierzem i skrzydłami jaj, jak kury. Trzeba indyczkę, mającą wysiadywać jaja, wsadzić na kilka dni pierwej albo do dużego kosza lub skrzyni z otworem, tak jedno jak drugie muszą być zamknięte i włożone sianem, ułożonem jak gniazdo, w które włożyć kilka jaj dla zachęcenia indyczki. Jeżeli indyczka już wysiadywała kiedyś, to po paru dniach zabierze się na seryo do wysiadywania, jeżeli zaś młoda, dopiero zeszłorocznego legu, to potrzebuje kilku dni do namysłu, a nawet często nie umie wziąć się do tego. Wogóle indyczki są bardzo często dobrymi matkami tak

do wysiadywania, jak do wodzenia piskląt. Gniazdo dla indyczek powinno być daleko elastyczniej i mięcej wysłane niżeli dla kur, z powodu większej objętości i ciężaru indyczek. Jedną z najważniejszych czynności przy nasadzeniu drobiu jest wyniszczenie robactwa, któreby mogło niepokoić wysiadającą indyczkę lub kurę, a następnie udzieliłyby się wylęgającym pisklątom. Najlepiej użyć do wysypania gniazda proszku kwiatu siarczanu, lub proszku perskiego; należy także przesypanie nim opierzenie indyczki lub kury. Najlepiej jest nasadzić odrazu więcej indyczek czy kur na gniazda, aby mniej więcej wszystkie w jednym czasie się wylęły. Szóstego dnia należy wszystkie jaja podłożone przejrzeć, czyste wybrać, zostawiając tylko zalegnięte, następnie te ostatnie tak rozdzielić, aby indyczka miała 22 do 25, duże kury zagraniczne 15 do 18, zwyczajne zaś 12 do 15. To się zyskuje, nasadzając kilka indyczek i kur, że jak zabraknie zalegniętych jaj, pod jedną podkłada się świeże a potem odrazu się odbywa cała robota około wysiadywania i wylęgania. Nadzwyczaj pilnie baczycie należy, aby codziennie rano wszystkie nasadki, czy to kury, czy indyczki, były zsadzane z gniazda, dla nakarmienia i użycia ruchu na świeżem powietrzu, nigdy jednak dłużej nad minut 15. Za pokarm nasiadającym służyć ma ziarno, chleb, a dla urozmaicenia dodawać, jeżeli jest, nieco mięsa i zieleniny. Zebrawszy potrzebną ilość jaj z zarodowych stad, trzeba je wypuścić na wolność, więzione bowiem długo podlegają wyniszczeniu, tak, iż jaja zbierane nie zawsze są pewne, i to jest przyczyną, że często jaja przysyłane z zakładów, trudniących się sprzedażą jaj rozplodowych zawodzą kupujących. Kto więc nie ma u siebie dosyć miejsca aby się bawić w rozplodowe gospodarstwo dla dojścia do lepszych ras, ażeby je odosobnić i swobodnie w obszernem miejscu trzymać, najlepiej, jeżeli utrzymuje czyli chowa u siebie tylko jedną rasę a pragnienia swoje różnych zagranicznych ras zaspakaja, kupując jaja w Prazmowie u pani Ryksowej. Aby nie zaziębić jaj w czasie oczyszczania i obmywania, należy to działanie wykonać szybko i zaraz po obmyciu posadzić kurę napowrót na jajach. Gdyby wypadkiem pokazała się potrzeba wyrzucenia i spalenia podeślania zanieczyszczonego pasażem lub tym podobnie, można w takim razie jaja na 5 minut włożyć w ciepłą wodę 32 stopni Reaumura mającą, a następnie obtarte do sucha układać się w nowem gnieździe. Wszystkie te czynności należy przeprowadzać zawsze z wielką uwagą z termometrem i zegarkiem w rękę, nie spuszczać się w tem nigdy choćby na najwierniejszą służbę. Dwudziestego pierwszego dnia zaczynają się kurczęta wykluwać, wtedy zostawić kurę czy indyczkę w zupełnym spokoju, nie pomagać wykluwaniu się piskląt, a jeżeli kura potrzebuje koniecznie wyjść z gniazda dla oczyszczenia się, to należy ją bezwzględnie napowrót na gniazdo posadzić, a wypróżnione skorupy wyrzucić zaraz z gniazda, gdyby zaś następnego dnia jeszcze nie wszystkie się wykłuły, to należy je spławić w wodzie do 32 stopni Reaumura ogrzanej, a które się poruszają na wodzie, obtarłszy dobrze do sucha, podłożyć pod inną kurę jeszcze wysiadującą. Pierwsze 30 godzin a co najmniej 24, nie dawać pisklątom żadnego pożywienia, zostawić je pod kurą na gnieździe i dopiero gdy kura zacznie sama niepokojem i kwaczeniem dawać znać że są głodne, wtedy dawać jajka na twardo gotowane, siekane z kaszą jęczmienną gotowaną, a dalej z zielskiem, i tak do dwóch tygodni najmniej trzeba mieć o nich staranie, aby kura je pilnowała i aby miejsce gdzie przesiadują z matką nie było zbyt chłodne.

L. C.

Mleko dla drobiu.

W gospodarstwach, gdzie jest dużo krów, opłaca się część mleka zbieranego i maślanki dawać na pokarm kurom, gdyż wtedy się daleko lepiej

niosą, szczególnie w zimie i na wiosnę. Dolewa się mleka do pokarmu, albo też zaparza nim mąkę, tartę kartofle i t. p. Wszystek drób jest łakomy na ten przysmak. Mleko zastępuje dla kur potrzebne im mięsne pożywienie. Dla młodych kur i wogóle młodego drobiu, mleko jest wyborym pokarmem, przy którym się doskonale hodują.

M. J.

Zachowanie smaku kartofli do lata.

Przy nadchodzącej wiosnie, przypominamy czytelnikom naszym, o zachowaniu wyrastających w piwnicach kartoflach, zawierających w sobie trującą solaninę. Najpierwszym tu warunkiem jest obrywanie wyrastających kiełkowanie kartofli; dla zachowania zaś smaku, należy zagotować w kotle wodę, kartofle opłókać, włożyć w koszyk lub siatkę i zanurzyć je w kotle na 4 sekundy w czasie wrzenia. Po wyjęciu ostudzoną kartoflami wodę powtórnie zagotować i zanurzyć nową partję kartofli, póki się wszystkie nie oparzą. Sparzone rozsypać cienką warstwą w przewiewnem miejscu, na przykład na górze, gdyż w Marcu przypuszczalnie już mrozów takich nie ma, aby do brze obeschły, a następnie sypie się w pakę lub na piasek, do suchej ciemnej piwnicy. Postępowanie takie niszczy zarodki fermentacji, czynią kartofle zdrowymi i smaczными aż do świeżych.

L. C.

Zręczne ułożenie i krajanie pieczeni cielęcej.

Nie należy nigdy kazać rzeźnikowi nadrabiać pieczeni cielęcej, bo wtedy porabiane kości przeszkadzają do dobrego krajania. Zbytecznie długą nogę, zwaną pręgą, odciąć, dalej okroić tak mięso, aby goła kostka została, którą po upieczeniu przy podaniu owija się przyzwanym papierem. Na surowo wyrznąć, czyli wyluzować kość u spodu leżącą, od ogona ku części nerkowej, którą się nie piecze na eleganckie podanie, co bardzo łatwo idzie, odważywszy się raz spróbować, jest to ta sama kość, którą się wyrzyna u szynki. Po upieczeniu naszpikowanej cielęciny, zdjawszy z różną skroić płasko nożem dużym całą spodnią część, aż do grubej kości idącej wewnątrz, następnie położyć na stolnicy, krajając plastery, zaczynając od nogi czyli pręgi, ów kawał ze spodu pokrajać również cienko i ułożyć okrągło, obok całej pieczeni pokrajanej i położonej na półmisku, nie rozkładając plasterków, lecz formując całość, jakby surowej pieczeni. Tak podana pieczeń, czy z biszamelem, czy tylko z masłem i rumianą bułeczką, ślicznie wygląda.

L. C.

OGŁOSZENIA.

WYDAWNICTWA

L. Cwierzakiewicz.

1. **Kolęda dla gospodyń.** Kalendarz na rok 1892 (rok 17-ty). Cena kop. 50.
2. **Podarunek ślubny czyli „Kurs gospodarstwa dla kobiet”** (wydanie 2). Cena rs. 1.
3. **„365 Obiadów”** (wydanie 16) rs. 1 kop. 80 w oprawie.
4. **Jedynie praktyczne przepisy konfitur, marmelat, wędlin, ciast, wódek, likierów,** za które autorka nagrodzona została medalem złotym (wydanie 14). Cena rs. 1 kop. 30 w oprawie.
5. **„Poradnik porządku i różnych higienicznych wiadomości”** (wydanie 3). Cena kop. 70.
6. **Nauka kwiatów bez pomocy nauczyciela** z 239 rycinami. Cena rs. 1.